

M.B.  
im  
J. W.  
Łódź



„Jubilerzy księżycowego światła” patrz str. 12

MARIAN ZDROJEWSKI

Z WĘDRÓWEK PO ŁÓDZI

# „MOWA, TO FORSA, PANIE“

O miasto można być w równym stopniu zazdrosnym jak o kobietę. Tak! Bo dlaczego na przykład twój przygodny rozmówca w pociągu, który nigdy Łódzi nie widział, wypowiada takie zdania:

— Ach, Łódź! Nie lubię tego miasta! Tam do dziś jeszcze brak kanalizacji, „kociołby”, rynsztoki, dym i w ogóle brud!

Wszelkie wysiłki zmierzające do pokazania naszemu rozmówcy nowego oblicza miasta spełniają na niczym. Są złośliwi, którzy twierdzą nawet, że Łódź bez śmieci i brudu musiałaby zmienić swoją nazwę.

Sprawy nie są nowe, wiele o tym mówiono, a ile zapisanego na ten temat papieru kryją urzędnicze szafy? I nie. Oswoił się z brudem, śmieciami, bo to przecież takie stare jak miasto. Dlatego właśnie uważam, że czas jest najwyższy na to, by przyjrzeć się niektórym zjawiskom od lat pogłębiającym szpetotę naszego miasta.

**OKIEM PRZYBYSZA**

Otóż Łódź. Przyjechałem. Stacja jakich wiele, pełna zaasferowanych podróżnych. Rozkołysany tłum szturmuje wyjścia po to, by

za ostrym zakretem w prawo rozpocząć gonitwę za tramwajem. Tlum maleje, napełniając wagony odjeżdżającą w miasto pozostawiając sterty papierków, biletów, sznurków, bo już resztki jadła, opakowań, gazety czy większe szczegóły przeznaczone do kosza, grzechni ludzie wleśnili pod ławki stojące rzędem na przystanku. O kilka kroków pusty kosz zawieszony na słupku zatracił swoje przeznaczenie.

Dziwni są ci łodzianie, twierdzą uparcie, że trzeba im więcej zieleni, przestrzeni, a jak się przestrzeń i zieleni znalazła, to znów sęk w tym kto ma omiatać — „Zieleń Miejska”, P&P, PKS, MZBM, MPO, KKK?

Kilka zakrętów dwunastki i centrum Z okien „Grand-Hotelu” główna arteria miasta — Piotrkowska przypomina buławę przystrojoną wąskimi wstążeczkami bocznych ulic. Wielkie miasto. Tylko z drugiej strony (z reprezentacyjnego bądź co bądź miejsca) widok hotelowego podwórka, wciśniętego pomiędzy gmach teatru i hotelu, napawa każdego przybysza obrzydzeniem — sterty nie wywiezionych śmieci. I tuż to ludzi wyjechało z tego ciekawego skądinąd miasta zachowując taką obraz?

Widząc się po mieście na-

chodzi mnie jakieś dziwne porównania, których nie mogę odpędzić. Widzicie, Łódź

Dokończenie na str. 3



# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 2 listopada 1958 r.

BOGUMIŁ BRECHTA  
ANDRZEJ SZARON

## BŁOGOSŁAWIENSTWO CZY przekleństwo

W Łodzi mieszka 374 tysiące kobiet. Blisko połowa tej liczby pracuje zarobkowo. Dzieci i młodzieży w „wieku przedprodukcyjnym” jest w Łodzi ponad 200 tysięcy. W samym roku 1956 zanotowano w Łodzi około 14 tysięcy urodzin dzieci. W tym 4.795 dzieci rodziło się jako drugie w rodzinie, 2.353 jako trzecie, 811 jako czwarte itd. Ponad tysiąc dwieście młodych kobiet, wchodzących dopiero w życie, w 1956 r. urodziło trzecie z kolei dziecko.

Dowodzi to, że nadmierna liczba dzieci niewiele ma wspólnego z tym, co można nazwać świadomym wyborem. Nie wynika też stąd, iż dając postuch wezwaniom bardziej ortodoksyjnym kręgom hierarchii kościelnej, czy też wybitnemu zamiłowaniu do chowania całych gromad dzieci — decydujemy się ograniczyć nasze życiowe potrzeby, aby za to móc rodzić i wychowywać dużo dzieci — bo tak nam się podoba, bo nam z tym dobrze.

Wedle prognoz demograficznych w ciągu najbliższych kilkunastu lat ilość dzieci i młodzieży w wieku przedprodukcyjnym będzie wzrastać, mimo iż prognozy te zakładają powszechność stosowania środków zapobiegających ciąży, co jest na razie li tylko pobożnym życzeniem.

Przeciwnie. Okazuje się, że mniej jest dzieci w rodzinach, które ewentualnie stać na wychowanie licznych potomstwa. A dwakroć i więcej



Łódź zamieszkuje przede wszystkim włókiennicze. Zbadano, iż wśród ludzi pracujących w przemyśle włókienniczym aż 54,5 proc. budżetu domowego przeznaczają się na jedzenie. Jest to wskaźnik bardzo wysoki. Jego wysokość powoduje w znacznej mierze dużą liczbę dzieci.

dzieci w rodzinach, w których nadmiar dzieci potęguje ubóstwo do granic życiowej wytrzymałości.

W rodzinach, w których zarobki wynoszą do 400 zł na jednego domownika, „gąb” do żywienia jest średnio 4,72. Ilość ta progresywnie maleje. Przy zarobkach 800—1000 zł na domownika, średnia ilość osób wynosi już tylko 2,91, a przy zarobkach 1.500 i więcej — 1,84.

Dzieje się tak dlatego, iż wyżej uposażeni posiadają — jeśli ujmować rzecz globalnie, jako przeciętną statystyczną — wyższe od niższej uposażonych wykształcenie, wyższą kulturę ogólną, z kul-

Cena 1 zł  
nr 36

APARATY  
RADIOWE,  
SPRZĘT  
SPORTOWY

i inne cenne nagrody oraz

**Koncert radiowo-telewizyjny**

uwieńczy konkurs **POLSKIEGO RADIA, TELEWIZJI i „ODGŁOSÓW”,** którego warunki ogłosimy już w następnym numerze.

tura życia płciowego włącznie. Potrafią więc zapobiegać niepożądanym ciążom lub urodzeniom, czego nie potrafią ci drudzy.

Wynika stąd, że dużo dzieci ma u nas nie ten, który szczególnie tego pragnie, ale ten kto nie umie przeciwdziałać żywiołowemu zjawisku „co rok prorok”. Tak jest zresztą na całym świecie. Ze z owego nadmiaru dzieci w rodzinach biednych, o niskim stanie zarobków rodzi się dodatkowa bieda, rozpadają się rodziny, cierpią na tym przede wszystkim same dzieci — o tym nie trzeba opowiadać nikomu, kto ma otwarte oczy i mieszka w Łodzi.

Zjawisko nadmiernej populacji niesie ze sobą podobne skutki w skali społecznej. Jesteśmy wciąż jeszcze krajem „na dorobku”. Czynnym dopiero starania, by zbudować tyle domów, aby każdy żył po ludzku, tyle żłobków, przedszkoli i szkół, aby każde dziecko znalazło w nich miejsce, tyle miejsc pracy, aby i w przyszłości nie brakło jej dla każdego młodego człowieka, który, jak to się fachowo mówi, „wejdzie w wiek produkcyjny”. Im więcej przeznaczать trzeba na powyższe inwestycje, tym mniejsze są szanse i możliwości podwyższania płac. Im więcej rodzi się dzieci — tym więcej przeznaczать trzeba pieniędzy na wymienione inwestycje. A więc nadmierna — w stosunku do możliwości naszej kieszeni — populacja — bije nas po tej-że kieszeni w dwójnasób: poprzez zwiększenie kosztów utrzymania rodziny i po-

DALSZY  
CIĄG  
na str.  
**10**

Tym razem chciałbym przedstawić przebieg narady odbytej z kierownikiem i przewodniczącym komitetu rodzicielskiego szkoły, z której ostatnio czerpałem dane oraz z kuratorem sądu dla nieletnich:

**Kurator:** Praktyka sądu dla nieletnich, nie tylko potwierdza słuszność pańskich wywodów o nierównych szansach powodzenia dzieci w szkole i zależności tych szans od warunków bytowych dziecka, lecz i wykazuje jeszcze, iż nie zaspokajane niezbędne potrzeby dziecka stają się przyczyną przestępczości. Dziecko żyjące w zaniechanym, prowadzącym nieregularny tryb życia, głodne, nieposiadające koniecznych utensylii szkolnych itp. — narażone jest na liczne konflikty, które najczęściej kończą się krzywdą dziecka. Krzywdą rodzi bunt, który z kolei szkła swoistych odwetów w łamaniu porządku i niszczeniu. Dzieci takie łatwo dochodzą do złodziejstwa i innych form deprawacji. O deprawacji zaś należy powiedzieć, że jest ona zaraźliwa, niczym choroba zakaźna.

Z powyższego wynika prosta wniosek: kompensowanie braków bytowych dziecka jest obiektywnym warunkiem zabezpieczenia przed przestępczością, odpadaniem ze szkół i przed deprawacją.

**Przewodniczący:** — Na



str. 2 **odgłosy**

**HONORATA CHRÓSCIELEWSKA**

**Grób na obczyźnie**

Na Twoim grobie wieniec wiatr  
złoży  
Z zeschniętych liści obcego drzewa,  
Zapali świecę woskowej zorzy  
I karze ptakom zblakłym  
śpiewać.  
Zamiast chryzantem jasne żółędzie  
Takie jak w naszym ogrodzie rosną.  
Wierzba zapłacz i płakać będzie  
Póki ostatnie listki nie poschną...

zebraniach, rodzice skarżą się często, że dzieci ich są demoralizowane przez złych kolegów. I rzeczywiście, poszukiwane przez nas źródła złych wpływów zawsze doprowadzały do dzieci żyjących w ciężkich warunkach lub do dzieci zaniedbywanych. Sprawa pomocy dzieciom ze środowisk biednych jest dla mnie zrozumiała, natomiast mam wątpliwości co do tego, czy powinno się rozwijać pomoc materialną w stosunku do dzieci, których rodzice piją, nie dbają o gniazdo rodzinne i lekomyślnie tracą pieniądze.

**Kierownik:** Wygląda to wszystko pięknie w sferze rozważań teoretycznych. Ja jednak codziennie w szkole muszę chodzić po ziemi. Powiedzieć mi, panowie, czym szkoła dzisiaj realnie dysponuje w zakresie pomocy? Lecz, gdybym nawet posłał wszędzie potrzebne środki w relik, to i tak uważałbym za demoralizujące wyręczanie w funkcjach opiekuńczych pijaków i lekkoduchów. Przecież to — niejako premiowanie ich nieporządnego życia.

**Autor:** Nie podzielam pesymizmu kierownika. Nawet przy aktualnych możliwościach szkoły, po zorganizowaniu form istniejących świadczeń, już można wiele osiągnąć. Na przykład dożywianie. Sąsiednia szkoła wprowadziła powszechne, obejmujące wszystkich uczniów dożywianie. Każde dziecko pije tam codziennie w czasie przerwy ćwierć litra kakao na pełnotłustym mleku i zjada bułkę. Szkoła liczy ponad tysiąc uczniów — osiemset pięćdziesiąt pięć faktyczną cenę kosztów, po 1,50 zł dziennie, reszta pokryta z pomocy bezpłatnie, dopłaca komitet rodzicielski i częściowo szkoła z sum budżetowych. Komitet rodzicielski na ten cel specjalnie zarobkuje różnymi imprezami. Czyż nie jest to właściwy przykład likwidowania na tym odcinku nierówności? Nie ma już w tej szkole tego, że z jednej ławy — jedno dziecko zajada bułki z masłem i szynką a drugie suchy chleb.

Co do zastrzeżeń, często zresztą podnoszonych, dotyczących „wyręczania” nie dbających o dzieci, to sprawę tę należy bliżej wyjaśnić. Słuszne jest, moim zdaniem, podnoszenie tej sprawy, zwracanie uwagi na zjawisko i na jego skutki, lecz wnioski lub sugestie z tych zastrzeżeń, zmierzające do pomijania dziecka opieką są nie tylko niesłuszne, ale i szkodliwe. Takie właśnie wnioski mogą jedynie powstawać u tych, którzy na pomoc społeczną dzieciom i młodzieży, patrzą z przestarczałego i niepotrzebnego nam stanowiska filantropii. Dziecku zawsze należy pomagać, jeśli ono potrzebuje pomocy, a w stosunku do rodziców — zaniebujących swoje opiekunów — wychowawcze obowiązki stosować ostre sankcje. Sankcje w formie kar i wyroków sądowych, orzekających koszty opieki usuwałyby możliwość demoralizacji rodziców.

**Przewodniczący:** Owszem, to jest przekonujące. My, rodzice, jesteśmy siłą społeczną, mamy duże możliwości w akcji opiekuńczej. Nikt jednak dotąd siły tej nie budzi i nie wpręga powstających samorzutnie in-

cyjatyw, w celowe działania. A moglibyśmy wiele z siebie wydobyć. Możemy siecią opiekunów społecznych objąć każdą kamienicę, pilnować, aby tam nie było dzieci poza szkołą, poza kształceniem zawodowym i nie dopuszczać do krzywdzenia dzieci. Możemy sprawdzać i kwalifikować oraz mobilizować środki materialne. Osobiście sądziłem, że po szumnych zapowiedziach w prasie, zorganizuje i poprowadzi nas Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, lecz mijają już dwa lata po reorganizacji tego Towarzystwa — a TPD spi-

**Kurator:** Mimo, iż i ja dostrzegam wiele możliwości działania w obecnych warunkach, rozumiem jednak pesymizm kierownika. Szkoła sama nie jest w stanie wprowadzić pełnego, odpowiadającego potrzebom życia systemu opiekuńczego. System ów wymaga bowiem, przede wszystkim integralnego uczulenia władz szkolnych i szkoły (wszystkich nauczycieli) na warunki bytowe dzieci oraz możliwości właściwego dysponowania środkami kompensacji. Państwo może częściowo tylko dostarczyć potrzebnych środków, znaczna część tkwi potencjalnie w możliwościach udziału sił społecznych i ofiarności społecznej, co jak wiadomo, dotąd nie jest aktywne. Pełny system wymaga poza tym mocnego oparcia o podstawy prawne, co z kolei nasuwa konieczność wprowadzenia przepisów o opiece i pomocy dla dzieci i młodzieży oraz przepisów o obowiązkach elementarnych rodziców pozbawionych całkowicie lub częściowo ograniczonych w prawach rodzicielskich.

**Kierownik:** Widzicie panowie sami...

**Autor:** Hola szanowny kierowniku! Pełny system to program maksymalny, a czy rzeczywiście muszą być spełnione wszystkie warunki idealnego stanu, aby wtedy dopiero brać się za bojażkę? Wiele spraw w naszym życiu musieliśmy już grodzić gołymi rękami, nim przyszedł narzędzia i maszyny, gróźmy i tutaj!

Za to, że dotąd w ludowych polskich szkołach nie ma równanych szans pobierania nauki i rozwijania się dziecka — ponosicie odpowiedzialność w znacznej mierze wy, kierownicy szkół. Niepokoiłicie tym swoje władze? Uświadomiliście opinię publiczną? Dano wam instytucje opiekuńcze nad szkołami — zakłady pracy. Ile było takich wypadków, że poszedł kierownik szkoły do załogi swego opiekuńczego zakładu pracy i wykazywał, jak nauczyciel przeszkadza nierówności startu — wywalił tam pomoc? A przecież można zawiązać opiekunów zakładu pracy, rady robotnicze do opieki nad szkołami. Były to piękny czyn przed Zjazdem partii, piękna akcja w związku z Milenium.

Można właśnie teraz, w okresie podejmowania zobowiązań przedjazdowych, zainteresować tym zagadnieniem robotników w zakładach pracy i uczynić z tej sprawy przedmiot zobowiązań.

Rzućmy hasło: aby nowe 1000-lecie Państwa Polskiego rozpoczęło się wyrównaniem szans rozwoju polskich dzieci!



**Tylko dla ponuraków**

U nas dowcip wtedy jest tylko dobry, gdy nie dotyka m n i e jako zainteresowanego. Tak myślą sobie ministrowie, tak myślą i obywatel i dlatego wszyscy najbardziej lubią kawały o rozbitkach na bezludnej wyspie. (W Polsce bardzo mało jest byłych rozbitków).



Bawiąc ostatnio w terenie odwiedziłem miasteczko, gdzie w pięknie utrzymanym miejskim parku chodził sobie paw. Paw, jak paw, kolorowy jest i ogoniasty, a różeska na wybiegu za drutem. Przechodząc koło owego wybiegu w towarzystwie ojca miasta jakiegoś tak zgadało się o pawiu. Zapytałem więc wielce ptakiem zainteresowany: „A co takiego byłby je?” Ojciec miasta spurpurowiał. Na moment go zatkało. Potem rzekł mi zimno a skandując, że w P. nigdy pawia nie było, a MRN zdobyło go kosztem wielu starań i zabiegów. Że paw jest trwałą zdobyczą władz komunalnych, radością działwy i dumą miasta. I dlatego mówienie tak o pawiu wydało mi się wysoce... itd. itp. A ja szedłem sobie zwolna i dumaleń, czy to czasem nie ten paw, co „pawiem narodów jest i ozdoba” na tymczasowym zesłaniu w P. I dlaczegoż to my w herbie mamy orla a nie pawia. I na temu podobne ornitologiczne tematy dumalem.

Tak, że jak widziacie, źle dzieje się w Polsce czelkowi o jakim takim poczu-

ciu humoru z racji jego odmienności. I niebezpiecznie jest dowcipkować z ptaków i z bliźnich... chyba... chyba że jest się chytrusem nad chytrusy.

Redakcja „Szpilek” wprowadziła rubrykę „Hyde-Park” ogłaszając, że jest to wolna trybuna służąca do publikowania utworów przez wszystkich i zaczęła w niej drukować ku zabawie publiczności koszarne monstra grafomanii. Cieszyłem się: nareszcie ma się szansa dostać na centralne łamy. Myślałem sobie: dobrze się dzieje. Zlincozują ich autorzy rycząc, iż naigrawają się z samorodnych talentów, które i krew w obrobie przelewały, i zręby budowały i dziadka powstańca śląskiego miały. Ale nie. Wprost przeciwnie. Grafomani sami proszą się, by ich w rubryce „Hyde-Park” umieszczać. Sami pchają się pod pręgierz i na pośmiewisko. Bo wraz z poczuciem humoru zatracą się poczucie samokrytycyzmu, zdrowy rozsądek i wszelkie rozcznienie, co jest co.

Jako po przeczytaniu stołecznych gazet mi się zdało, że w braku poczucia humoru celują władze sądowo-prokuratorskie oraz nasi kmiotkowie. Prokuratura wojewódzka dla woj. warszawskiego rozpatruje aktualnie następującą sprawę.

Pewien urzędnik państwowo poblił pewnego chłopca i to wcale dotkliwie, bo nasz chłop przeleżał się solidnie w szpitalu. Sąd ukarał państwowego pracownika m.in. skazując go na zapłacenie pobitemu solidnego odszkodowania. Nie więc dziwnego, że skazany zaczął żywić uczucie gorącej nie-miłości dla swej byłej ofiary i uknuł zemstę. Urządził jej mianowicie taki oto kawał.

Pewnego dnia naszemu chłopu listonosz przyniósł paczkę. Owinięta ona była w papier i sznurek. Gdy adresat odwinął papier i sznurek, pod spodem był nowy papier i nowy sznurek tudzież z sznurka tego zgrabna pętelka. Napis na papierze głosił: „Tu otwie-

rać, pociągnąć”, a strzałka wskazywała pętelkę.

Jeśli kto pisze „tu otwierać” dostateczny to powód dla naszego kmiotka, aby wcale paczki nie otwierał. Poczekaj on aż przyjdzie z pola syn. Syn reprezentował już młodsze, mniej nieufne pokolenie włóścian. Przeczytałszy ów napis jał paczkę otwierać, tyle, że na przekór nie z tej pętelkowej strony, ale od spodu. Gdy odwinął, oczom ojca i syna ukazała się wielka mina, której zapalnik połączony był z ową pętelką tak, że przy pociągnięciu za nią całość by wybuchła.

Eksperti bardzo pozytywnie ocenili ewentualną siłę tego wybuchu. Poszłoby chałup kilkoro. Most mogłaby zaważyć, gdyby chciała.

Prokuratura zasię, coź, nosi się z zamiarem ukarania nie ufności, niezdrowej podejrzliwości i braku poczucia humoru owych kmiotków, ale... żartowiska za usiłowanie morderstwa. O tempora, o mores!

W Polsce niezwykle rozwinięty jest bakcył czynnego poczucia humoru. Dowcipkować i robić kawały każdy umie. Natomiast zamarło na uwiad absolutny biernie poczucie humoru czyli zdolność do pojnowania, przyjmowania i konsumowania dowcipów bliźnich. Jest to niewątpliwy dramat i klęska narodowa. Jest to przywara, którą tępić trzeba srogimi wyrokami wieloletniej kary przymusowego ośmieszania. Karać bez litości!

\* \* \*

Teraz Belfer Wasz siedzi i czeka na list z prokuratury do redakcji protestującej przeciwko żądaniom u niewinnienia mordercy a skarania ofiary. Otóż to właśnie! Będzie to miłe choć nie expressis verbis wyrażone potwierdzenie moich poglądów. Z listu tego ukreć sobie stryczek i powiesz się na pierwszej lepszej szpalcie.

BELFER



**TYLKO dla MŁODZIEŻY!**

**KONKURS**

Jeśli masz 12, 13, 14, 15 albo 16 lat, to nie zapomnij wziąć udziału w październikowym konkursie pt.

**Znam filmy radzieckie**

Na zwycięzców czeka dużo atrakcyjnych nagród, a wśród nich — szansa wyjazdu na centralne eliminacje konkursowe do Warszawy.

Na terenie m. Łodzi konkurs organizuje Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Radzieckiej i Ekspozytura Centrali Wynajmu Filmów.

Pamiętaj! Wystarczy zobaczyć sześć filmów spośród ośmiu następujących: „Chłopiec z gutaperki”, „Więźniowie Lamparciego Jaru”, „Ogniste wiorsty”, „Stara forteca”, „Dziadek Hassan”, „Piękne dni”, „Na naszym podwórku” i „Wiosna na ul. Zarzecznej”. Następnie należy wypełnić ankietkę, złożyć ją w Klubie TPP-R (Narutowicza 28) i... cierpliwie czekać na wynik losowania.

zawsze przypominała mi moją ciotkę — potężnie zbudowaną i ciągle zapracowaną kobietę. Na jej bladej od zmęczenia twarzy, ostra, zacięta linia ust klóciła się z małym, filigranowym noskiem i dużymi niebieskimi oczami w brzydkiej oprawie.

Przepraszam za to porównanie: sentymentalne wspominki, zawsze nadchodzą wraz z jesienią. A jesień tego roku rozsiadła się wczesną i na dobre, malując nosy przechodniów na sino, fioletowo, czerwono.

Wlokę się wąskimi gardłami ulic, zawadzając co rusz o ustawione na chodniku zbiorniki na śmieci. Z tymi zbiornikami bywa różnie — są puste albo wypełnione, wokół coś na kształt cuchnącej korony. Bywa i tak, że

przed niektórymi posesjami w ogóle nie ma zbiorników, oczywiście tylko na ulicy, bo w kącie podwórza znajdziesz zawalone stertami. Tylko w nożnych blokach jest nieco inaczej — śmietników nie wybudowano, bo miały być zbiorniki, a zbiorników nie ma, no bo, nie ma! Co za różnica, w zbiorniku, śmietniku, czy ot, tak.

A więc okazuje się, że śmieci z hotelowego podwórka nie są jakimś tradycyjnym, pamiątkowym obrazkiem przeznaczonym dla przyjezdnych...

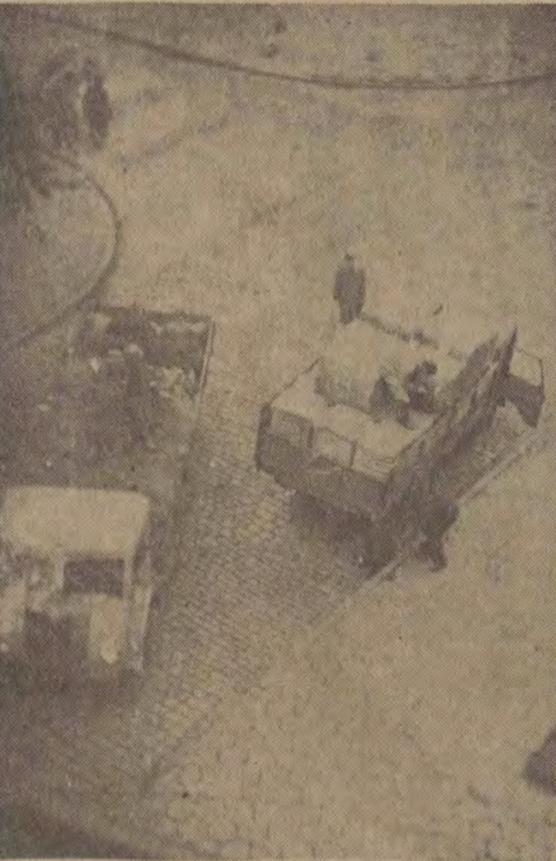
**PUBLICZNA TAJEMNICA...**

Zdecydowałem się zająć do kilku posesji, Roosevelta 11-13: około 3 wozów śmieci leży od dwóch miesięcy nie wywożonych, Nowa 46 — duża sterta nie wywożona od kilku miesięcy. Wyliczanie naprawdę nie miałoby sensu. Wymieniać mógłbym wiele: Nowa 26, 39, Armii Czerwonej 10, 12, Przędzalnia 3, Jaracza 18, 88, 8 Marca 16, Sienkiewicza 51, 75, 79, Piotrkowska 132... nie o to jednak chodzi.

W jednej bardzo zaśmieconej posesji dozorca spostrzegłszy mnie kręcącego się po podwórku, podejrzliwie zapytał:

— A wyście nie z biura od tych śmieciarzy? —

— To co tak ważycie „na oko”, ile tu jest? Ano jest, kupa się tego zebrała, a oni chodzą, niby ci śmieciarze i zaglądną czy zmięknę.



— Co, nie ma komu wywozić?

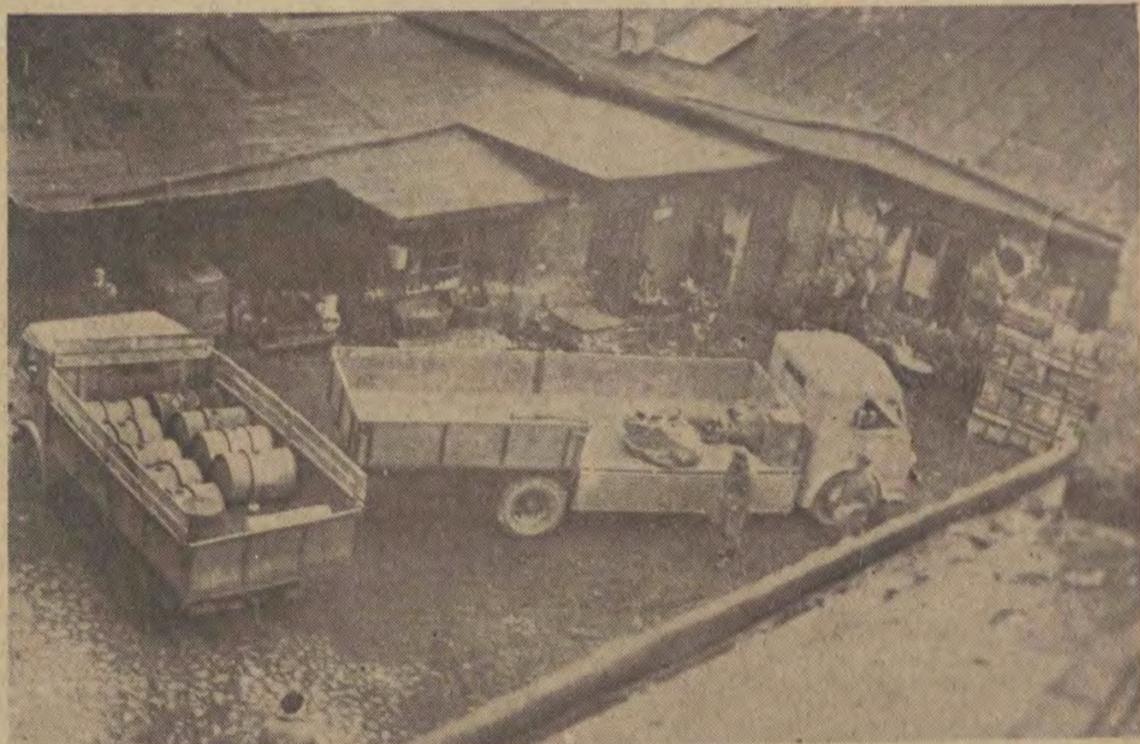
— E, tam!

— Śmieciarze wołają, żeby było więcej, bo jak się w puszkach nie zmieści to leży na kupie, a z kupy trudno policzyć wiele to tego jest. Oni mówili, że jest dziesięć puszek i na tyle żądali znaczków — bo od numerków mają płacone — a ja, że pięć puszek, bo tyle było. I tak śmieci zostały. Teraz chodzą, zaglądną, czekają aż zmięknę.

Zaczynam rozumieć. Jedynym przedsiębiorstwem posiadającym monopol na oczyszczanie miasta jest Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania. Dysponuje ono całym taborem (nie przystosowanym do tego celu!) samochodów, dziesiątkami ludzi i zdawałoby się, że wszystko powinno „grać”. Ale...

Oficjalne założenia organizacyjne przedsiębiorstwa przewidują: samochód wraz z kilkuosobowym zespołem wyrusza na określoną trasę z zadaniem oczyszczenia kilku posesji, uprzątnięcia opróżnionego miejsca, a wręcz się załadowany, przykryty plandeką odjeżdża na zyspisko. Jakże to proste, prawda? Ale inne, również oficjalne, jak najbardziej oficjalne z wiedzą wszystkich możliwych i niemożliwych czynników stosowane praktyki są zaprzeczeniem pierwszych.

Dziesiątki samochodów oznaczonych po bokach literami MPO ruszają na trasę, „przywracając miastu urodę”.



nej segregacji: szmaty, butelki, żelazo.

— Mowa! To forsa, panie!

**CZARNA KRÓLOWA**

Na Rudzkiej Górze nazywają ją różnie: „Śmieciara”,

jęty składaniem przywiezionych skarbów. Pan znów wygląda, spoglądając co ja oglądam. A ja oglądam podjeżdżające samochody MPO, zajęte „ucieczkami”, oficjalnymi transakcjami. („Miasto może poczekać!” „Mowa, to forsa, panie!”)

Uf, chociaż raz w życiu mogę udawać detektywa. Cały czas wydaje mi się, jakby grono obserwujących mnie ludzi było... Myslicie, że jak składnica odpadków, to zaraz ludzie obdarci, umorusani, co? Wokół odpadków kręcą się panowie elegancko ubrani i... o! widzicie ten prywatny, jasny samochód osobowy marki „Kapitan”? Zatrzyma się przed „Sesamem”, wyjdzie z niego starszy pan w jasnym popielinowym płaszczu i uda się do biura tej znacznej instytucji. Po kilkuminutowej „konferencji” pan w płaszczu siądzie za kierownicą „Kapitana” by następnie, zatrzymując się przy Piotrkowskiej zniknąć w drzwiach restauracji „Syrena”.

Powracając do meritum, czy można byłoby zapytać za Państwowym Inspektorem sanitarnym, Komendą Miasta Milicji Obywatelskiej: — dlaczego w centrum miasta (!) w sąsiedztwie Miejskiego Domu Kultury (!) znajduje się duży punkt skupu odpadków, który jak twierdzą współwłaściciele „przetrawił wszystkie katastrofy! 45—58 r.”? Dlaczego personel MPO, wykorzystując państwowe środki lokomocji zarobkuje prywatnie miastem oczyszczając miasto. Czy tym nie narusza się norm prawnych?

Państwowy Inspektor Sanitarny w piśmie z dnia 11. IX. 58 l. dz. 330/9/58 pisze: „... Działając w oparciu o dekret o państwowej inspekcji sanitarnej z dnia 14. VIII. 54 r. (Dz. U. nr 37, poz. 160, art. 4 p.l) występuje z następującymi postulatami dotyczącymi działalności MPO na dzielnicy Śródmieście: 1) zorganizowanie wywozu śmieci w godzinach nocnych. Wywóz dzienny, odbywający się dotychczas w różnych porach dnia powoduje utrudnienie ruchu komunikacyjnego, zanieczyszczenie powietrza i otoczenia (biorąc pod uwagę prymitywne sposoby i środki pracy MPO) oraz naraża na zanieczyszczenie i zakażenie niejednokrotnie obok tych miejsc przewożone artykuły spożywcze.

2) Bezwzględne zlikwidowanie przetrzymywania śmieci na chodnikach w dzień.

**„MOWA, TO FORSA, PANIE”**

Tu się zatrzymują, zabiorą, zostawiając zatarasowane i zaśmiecone chodniki, tam nie, bo... „twardy s...”, poczekamy aż zmięknie!” Po załadowaniu samochodów dopiero zaczyna się praca, praca dla siebie. Leniwe ruchy nabierają życia. Cała zawartość samochodu ulega gruntow-

„Czarna królowa”. „Sitawka”, a i innym niedwuznacznym, dosadnym określeniem przeznaczonym dla niewiast podejrzanej konduity. U podnóża skarpy, miejscu przeznaczonym na wysypisko, ona króluje wszechwładnie i despotycznie. Zbiera, przebiera, wysyła, gromi, gani, a gromić ma kogo, oho, cała plejada „klojberów” (zbiieraczy) mrówczo przegrzebuje śmieci.

— Z tymi co mają pojazdy trzeba „trzymać sztamę” albo z tą kupą nysgów, czepiających się kiecki, bo dla reszty wystarczą „fajury” i „kira”.

Dwaj napotkani chłopcy w uczniowskich czapkach niechętnie rozmawiają na temat wysypiska i panujących stosunków. Dopiero papieros, jako potwierdzenie mojej przynależności do tzw. „swojych” rozkręca rozmowę.

— To tylko my, panie, daliśmy się tak narzącać, za fajki albo resztki w butelce harowało się, ale tamtych „nie orznie!” Dzisiaj już od rana jest „głajcha”, tam u niej. W budzie już za zimno, tak na rozgrzewkę to jeszcze...

— Panie, tylko nie klep pan gdzieś, bo tu już niedługo „przydupasy” urządził — przerywa drugi.

Jest południe. Dwa empe-owskie samochody kończą rozładowywać i z posegregowanymi odpadkami ruszają do miasta.

**TAJEMNICZY „KAPITAN”**

Starszy, potężnie zbudowany pan w okularach jest podejrzliwy: wchodzi do bary, wychodzi, przygląda się mojej skromnej osobie jak spaceruję po ulicy. Spoglądam na rękę bez zegarka udając zniecierpliwienie. A pan działa: wysyła na obserwację panią w granatowym fartuchu, pana z samochodu MPO w skórzanej czapce, który przed chwilą był za-



3) Częstsze opróżnianie podwórzowych zbiorników na śmieci oraz wszelkich innych śmietników.

4) Uporządkowanie terenu po zabranych śmieciach.

5) Wydenyfikowanie śmietników i terenu po zabranych śmieciach.

6) Wywożenie śmieci tylko w szczelnych i zakrytych wozach czysto utrzymanych i denyfikowanych.

7) Zaopatrzyć pracowników o ile możności we właściwy i ułatwiający im pracę sprzęt roboczy (np. dźwigi, miotły itp.).

8) Zabronić pracownikom segregowania odpadków pod względem ich użyteczności na wozach co podnosi pył i zanieczyszcza otoczenie...

Stanowisko Państwowego Inspektora Sanitarnego znalazło potwierdzenie w podjętej uchwale nr 23/62/58 PDRN Łódź-Śródmieście.

Formy reportażu nie pozwalają mi na przytoczenie odpowiedzi Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania, odpowiedź pełnej za-

strzeżeń: że trudności, że jakże to, że nie! Trudności? Owszem, ale możliwe do przewyższenia. Rzecz w tym, by powołał międzywojewódzką (!) komisję mającą na celu opracowanie i koordynację pracy MPO na wzór na przykład Poznania — stanowisko reprezentowane przez niektóre, odpowiedzialne osoby w mieście. Międzywojewódzka dlatego, że komisja wyłoniona z terenu naszego miasta utonęłaby w usiłowaniu — jak to bywało... Trzeba pamiętać, że do tworzenia kultury, tym więcej kultury sanitarnej należy stworzyć warunki, a warunki musi stworzyć miasto, bo „tylko wejście do czystego salonu zmusza do obejrzenia własnego obuwia...”

MARIAN ZDROJEWSKI



## JAK ZOSTAĆ AMERYKAŃSKIM SZPIEGIEM

(dokończenie)

Pierwsza część artykułu w „Esquire” zorientowała nas, jakie to agencje USA poszukują kandydatów na szpiegów. Niesłychanie pouczający jest również i ciąg dalszy, który mówi o tym, co się stanie z człowiekiem „inteligentnym, żądnym przygód, patriotą”, który „został znaleziony”. Tak pouczający, że niektóre ustępy warto przeczytać w extenso.

Po zgłoszeniu się do nowego „pracodawcy” kandydat na szpiega, wypełnia ogromną ilość kwestionariuszy. Musi podać dokładnie, gdzie był i co robił od czasów wczesnego dzieciństwa. Szczegółowo przedstawia swoje „skłonności” polityczne — poczynając od tych, które miał w kołysce. Odpowiedzieć na szereg pytań dotyczących spraw najbardziej osobistych. „I dlaczegożby nie?” — pyta autor artykułu. Właśnie. Dlaczegożby nie?

Następuje teraz długi okres — wiele miesięcy — oczekiwania na decyzję, w ciągu którego szanowny kandydat na szpiega jest „prześwieclany” na wszystkie strony.

A skoro okaże się, że jest czysty jak iza i odporny jak stal kwasoodporna, dostępuje zaszczytu, z „poszukiwanego” i „znalezionego” staje się „zatrudnionym”. Przenosi się w inny świat.

Dawniej ufał, jeśli nie wszystkim, to niektórym. Dziś nie ufa już nikomu — nie wolno mu. Pozna też przykazanie: wiedzieć tylko to, co należy wiedzieć, i nie więcej. Skończyły się szczęśliwe czasy swobodnych dyskusji, posiadania jakichś poglądów. Zastępuje je imperatyw jak najbardziej kategoryczny: należy. A należy wiele. Między innymi uczyć się. „Przed wszystkim obchodzenia się z obokrajowcami sprzedającymi tajemnice”.

Uważaj! to warto przeczytać z uwagą, nie raz, dwa razy!

„Zanim agentowi będzie można dać pseudonim, trzeba go zwerbować, co jest sztuką sama dla siebie. Dowiesz się (szpiegu w stadium szkolenia — wtajemniczenia) jak analizować „kartotekę” zawierającą dane dotyczące potencjalnego agenta. Będzieš szkolony w sztuce perswazji, która może zrobić go narzędziem twoim — i USA. Argumenty dotyczące jego osobistej przyszłości i możliwości znalezienia schronienia w USA; argumenty dotyczące spodziewanego zwycięstwa Zachodu w zimnej wojnie; argumenty oparte wprost na antykomunizmie. A kiedy już agent został zdobyty, musisz wiedzieć, jak nim kierować. Waszyngton będzie się od niego spodziewał dostarczania określonych informacji. Musisz pośredniczyć pomiędzy požądaniem informacji przez centralę szpiegową, a możliwościami zaspokojenia wymagań agenta. Musisz również zostać szczegółowo wyszkolony w podstawowej umiejętności kontaktowania się ze swym agentem bez narażania się na wykrycie przez Komunistów”.

Tak właśnie! Celowo opuszczaliśmy dotychczas słowo „komuniści”, by je dać w

najwłaściwszym kontekście. Artykuł jest wyraźny. Mówi jasno. Nie operuje jakimś tam „nieprzyjacielem”, „państwem X”, „przeciwnikiem”. Operuje za to „komunistami”, „czerwonymi”, „sowietami”. Nie ukrywa, przeciwko komu wymierzona będzie działalność „poszukiwanego, znalezionego i zatrudnionego”, przeciwnie — stale i konsekwentnie to podkreśla. Komentarz zbędny! Pamiętajmy przecież, że kiedyś było tam na to 100.000.000 dolarów...

Nasz „zatrudniony” umie już werbować agentów w „komunistów”. Teraz musi jeszcze zostać wtajemniczony w arkanach sztuki przekazywania „zdobytch” wiadomości do Waszyngtonu. Radio, Morse (oczywiście w nocy). Szyfry. Również rozszyfrowywanie szyfrów (naturalnie komunistycznych — dodatek nie nasz). Atramenty sympatyczne.

Ileż to jeszcze trzeba się nauczyć. Jak prowadzić „dom schadzek” — schadzek prozaiicznych, dla spółkań z agentami. Jak urządzić „skrytkę” na korespondencję. Jak płacić agentom — nie wolno im przecież żyć ponad stan wynikający z ich oficjalnych zarobków, a posiadanie pieniędzy kusi do wydawania. Jak dostarczać fałszywe dokumenty, lepsze od prawdziwych. Jak „wyrwać agenta z paszczy policji komunistycznej”. Jak obchodzić się z agentami pracującymi na dwie strony. I różne inne różnorodności. Tak, tak, trzeba porządnie zakuwać — bo przecież, oczywiście, są podreczniki. Taki sobie mały uniwersytecik. No, a potem praktyka (nie wakacyjna — szpieg nie ma przecież wakacji). Nie ma w ogóle życia osobistego.

Ale... disce puer... Co też to nie czeka na szpiega, który zdał egzamin. Wstępuje do „świętego świętych” administracji USA, niezależnie od tego, jaka partia jest przy władzy. „Intelligence Advisory Committee (IAC) — Komitet Doradczy Wywiadu — składający się z kierowników poszczególnych organizacji szpiegowskich, jest potężnym sprzymierzeńcem National Security Council — Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Allen Dulles, kierownik CIA, jest stale wzywany do Białego Domu, gdy robi się gorąco. Jego zaś główni podwładni grają kierowniczą rolę w radach administracyjnych o znaczeniu niewiele tylko mniejszym”.

Co za kariera czeka! Jakże perspektyw! Czyż nie warto zakurwać?

Dla każdego coś miłego. Bo przecież może się okazać, że „zatrudnionemu”, „zatrudnieniu” jakoś jednak nie odpowiada, lub że — z tych czy innych względów — przestał się do niego nadawać. I co wówczas?

Wszystko jest cudownie! Bo przecież szpiegowaniem do pracy cywilnej. Najlepszym dowodem, że jedna z największych w USA agencji pośrednictwa pracy zatrudnia byłego szpiega na kluczowym stanowisku. Inni „byli” mają wszystkie dane, by reprezentować interesy USA za granicą, czy przejeżdżać do świata „business’u”. Spokojna starość zapewniona.

Artykuł jest obszerny. Omawia kolejno i systematycznie poszczególne etapy „drogi szpiega”. Do czestych wizyt w Białym Domu, względnie dobrej posiadki za granicą włącznie. Nie mówi natomiast nic o jakże częstym „ostatnim etapie” — tym etapie, w którego omówieniu wyręczają „Esquire’a” werdykty sądowe. Nie mówi też nic o tym, o czym czeka szpiega, który nie jest obywatelem amerykańskim, który został zwerbowany, który po prostu jest zdradcą. Nawet nie szpiegiem! Zdradcą!

A szkoda, że nie mówi o tym, poczynny amerykański „magazyn dla mężczyzn” — „Esquire”.

Opracował PIK



**INPLOZJA** — pojęcie stanowiące przed 13 laty fundamentalną tajemnicę bomby atomowej. Rozceplany izotop uranu 235 w stanie czystym (jak wiadomo w naturze U 235 występuje w zanieczyszczeniu ze zwykłym, nierozceplonym uranem, i to w bardzo znikomym stosunku jeden do kilkuset tysięcy) posiada tak zwaną „masę krytyczną”. Powyżej pewnej wagi U 235 samoczynnie wchodzi w reakcję łańcuchową. Do dziś waga ta stanowi najcięższą tajemnicę i prawdopodobnie różne kraje znajdują jej wartości, przybliżające się do wartości absolutnej. Sama reakcja łańcuchowa, jakkolwiek wydziela ogromne ilości zabójczego promieniowania radioaktywnego, jeszcze nie jest wybuchem. Aby nastąpił wybuch o znaczących w Hiruszynie skutkach musi nastąpić tak zwane „zmontowanie”, to znaczy U 235 musi przebywać w tym momencie w izolowanym, ciasnym pomieszczeniu, nie przepuszczającym efektów

EDWARD CASTEL

## WOJNA O SUEZ (III)

Edward Castel pisał swoją „Wojnę o Suez” bezpośrednio po krytycznych wydarzeniach. Dlatego mógł milcząco przyjąć, że jego czytelnicy pamiętają podstawowe fakty i oficjalne enuncjacje, zwłaszcza enuncjacje rządu izraelskiego, który wydał rozkaz marszu na Egipt czołgom Mosze Dajana, jednookiego dowódcy armii Izraela. Z perspektywy dwóch lat trzeba jednak pewne fakty przypomnieć. Szczególnie fakt powołania się przez rząd Izraela na groźbę agresji ze strony Egiptu. W tym odcinku zapozna się Czytelnik z politycznym mechanizmem wytworzącym bardzo bezbłędnie owo „poczucie zagrożenia”. Kiedyś, w rezultacie działania tego samego mechanizmu, rzucono między Polskę i Niemcy kość niezgody o „korytarz” i Wolne Miasto Gdańsk. Historia, a przynajmniej historia dyplomacji, jak widać, powtarza się...



David Ben Gurion

— Naprawdę, mój kochany, moje pełne uznanie. Nigdy nie myślałam, że wy — Żydzi — potraficie się tak fenomenalnie bić. Odziały pancerne Dajana idą jak w masło. Z tego, co widziałem, macie zresztą świetny sprzęt i pod tym względem przynajmniej jesteście z Egipcjanami „al pari”. Skąd go macie?

— To wcale nie było proste. Już dwa, a nawet trzy lata temu zaczęliśmy zamawiać we Francji odrzutowce. Również w Kanadzie. Ale ani Paryż, ani Ottawa nie chciały wyrazić zgody na dostarczanie nam samolotów. Francja związana była deklaracją z 1950 roku — jak pamiętasz, Waszyngton, Paryż i Londyn zobowiązały się wówczas, że w wypadku konfliktu na Środkowym Wschodzie będą się wzajemnie konsultowały, i że broń na ten obszar dostarczana będzie w stosunku jeden do trzech: jeden samolot czy czołg dla nas, trzy dla Arabów. Miało to rzekomo zahamować wyciąg zbrojeń między nami i naszym przeciwnikiem i w ten sposób zmniejszyć ryzyko konfliktu. W rezultacie

Organizacja międzynarodowa — NEAC — starannie czuwała nad zachowaniem tej proporcji — oczywiście niesprawiedliwej, bo Irak od Anglii dostawał tyle broni, ile chciał. Poza tym stosunek: jeden czołg nasz prze-

ciwko trzem czołgom arabskim — to oczywisty wyrok śmierci dla nas na wypadek, gdyby Państwa Arabskie sprzymierzyły się przeciwko nam.

Na wiosnę sytuacja się pogorszyła.

Znaliśmy plany Nassera. Mamy dobry wywiad. Mieliśmy też informacje z innych źródeł. A plany były niepokojąco ciekawe.

Po pierwsze — 2000 fedajin — komandosów — miało rozpocząć działania na naszym terytorium, co spowodowałoby oczywiście nasze represje w stosunku do uchodźców palestyńskich — z ich obozów przede wszystkim rekrutują się ci fedajini.

Po drugie — lotnictwo egipskie miało wykonać naloły odwetowe na nasze miasta — odwet za represje zastosowane wobec uchodźców palestyńskich. Nasz kraj jest właściwie szeregiem miast. Uderzenie byłoby druzgocące.

Po trzecie — następnie armia egipska miała przekroczyć naszą granicę i spotkać się z Legionem Arabskim — który wyrzucił już Glubb Paszę, a wpływy angielskie w Ammanie są obecnie żadne — i trzy armie: egipska, syryjska i Legion, świetnie wyposażone, miały zadać nam cios ostateczny i podzielić się zdobyczą.

Nasz prezydent — Ben Gurion — był dotychczas zwolennikiem pokoju za wszelką cenę. Pamiętasz chyba, jak w związku z nacjonalizacją Kanału radio Kair wyraziło nam uznanie, że nie utworzyliśmy wspólnego frontu z imperialistami.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Wojna stała przed drzwiami. Za wszelką cenę musieliśmy rozbudować nasze lotnictwo, zmodernizować je.

Zwróciliśmy się ponownie do Paryża. Teraz przyjęło nas życzliwie. Nasza argumentacja trafiła na podatny grunt. Nie muszę ci przecież tłumaczyć, dlaczego.

Otrzymałszy dwadzieścia cztery odrzutowce Mystere zamówione przed trzema laty. Kanada również zdecydowała się wreszcie dostarczyć nam dwadzieścia cztery myśliwce odrzutowe F86. Na więcej nie mieliśmy pieniędzy. Ale dostawa tych F86 przeciągała się. W przededniu rozpoczęcia kampanii nie mieliśmy jeszcze ani jednego. Pomógł nam jednak nasz nowy sprzymierzeniec. — Rząd francuski wyraził zgodę na dostawę dalszych Mystere. Dostaliśmy również szybkie czołgi AMX.

lic. Jest to proces żmudny i długi. Nie można go przyspieszyć. Czy wiesz, jakiego czasu wymaga wyszkolenie pilota myśliwca odrzutowego? Wyszukanie, które pozwoli mu wykorzystać wszystkie zalety, jakie ukryte są w jego maszynie? Wyślą do akcji pilota wyszkolonego słabo, a klęska będzie podwójna: zostanie zestrzelony w pierwszych sekundach walki i straci nie tylko jego, ale i maszynę. I jedno, i drugie w naszym układzie nie do zastąpienia.

Mówiło się, że otrzymaliśmy od Francji sto odrzutowców Mystere. Gdyby nawet tak było — nie mieliśmy stu pilotów na te samoloty. Stu naszych pilotów. Bo oczywiście zgłaszało się do nas wielu obcych ochotników. Musieliśmy im jednak odmówić — taktyka nasza jest tak specyficzna, że wyklucza udział ochotników. U nas każdy oddział ma swoje własne samoloty, czołgi, i w tym leży nasza siła, szybkość naszego działania. Pilot kładzie ogień sto metrów przed nacierającą piechotą, rozkazy wydaje mu dowódca z ziemi — po hebrajsku. Język hebrajski to nasze esperanto dla ponad pięćdziesięciu narodowości noszących nasz mundur. Znajomość tego języka jest niezbędna. A zgłaszający się do nas ochotnicy nie znali go. Jest to język trudny, nie można się go szybko nauczyć.

Można sobie jednak wyobrazić układ, w którym nawet mniejsza ilość najnowszych samolotów, i znacznie mniej — od tej, którą dysponuje przeciwnik, pozwoli zwyciężyć. Układ, w którym wszystkie samoloty użyte zostaną do natarcia.

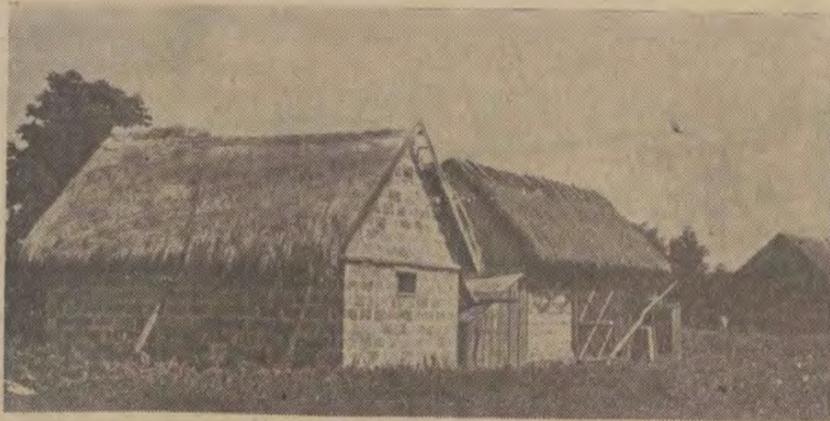
Zapytasz: a co z osłoną zaplecza, co z zaopatrywaniem z powietrza oddziałów walczących — przesłanką szybkich i dalekich działań, zwłaszcza w pustyni?

To samo pytanie zadawano i nam, autorom koncepcji naszej kampanii. Na szczęście byliśmy w stanie odpowiedzieć: i to będziemy mieli. To zapewni nam ktoś inny.

c. d. n.



**V KOLUMNA** — magazyn sensacji, tajników szpiegostwa, kryminalistyki, operacji wojennych, kulis dyplomacji. Korespondencje kierować „Odgłosy” — V Kolumna, Piotrkowska 96,



JERZY OPLUSTIŁ

# CYWILIZACJA POD STRZECHY

- 80 proc. obiektów prymitywnych i anty-sanitarnych
- Zapoznany przykład Piaseczna
- Wrogowie... łazienek
- Słuszna decyzja

Czy władze państwowe mają prawo ingerować, aby zapobiec zjawisku masowego i niecelowego inwestowania swoich obywateli?

Owym zjawiskiem — rzecz chyba dla laika paradoksalna — jest rozwijające się coraz potężniej budownictwo indywidualne wiejskie i małomiasteczkowe.

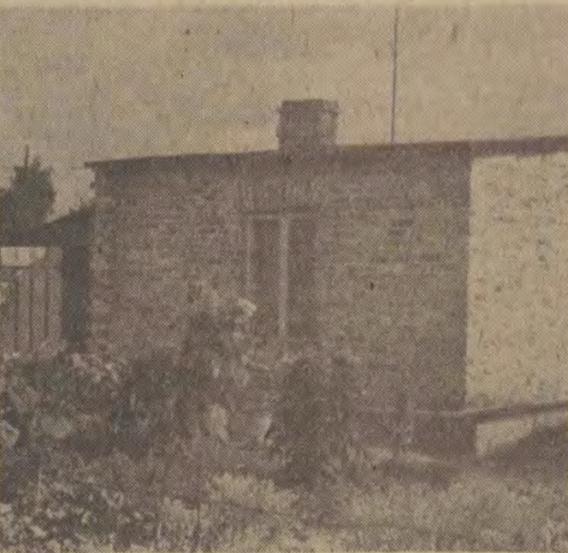
Linia podziału, która powstała pomiędzy budownictwem jako gałęzią techniki, a innymi gałęziami techniki ogromnie niepokoi. Gdy dla przykładu FSO wypuściłoby jedną niedaną sztukę, to posiadacz takiej „Warszawy” podnieśli odpowiedni alarm, poruszy niebo i ziemię, i ową nieporuszającą się maszynę co prędzej zwrócił. W pojeździe mechanicznym każdy źle wykonany szczegół będzie przedmiotem ostrej krytyki posiadacza.

Inaczej dzieje się w budownictwie. Przecież najbardziej zasadniczą część kubatury mieszkalnej, to znaczy budynki mieszkalne w małych miasteczkach i na wsi stanowiące około 80 proc. wszystkich budynków mieszkalnych wznoszonych w kraju są to obiekty prymitywne i anty-sanitarne. Z małymi nie wchodzącymi w rachubę wyjątkami chłop i małomiasteczkowy indywidualny „inwestor” buduje w sposób niecelowy, nieestetyczny i nieoszczędny. Zdana siła nie była dotąd zdolna powstrzymać chłopów od produkowania uświęconych tradycją dwu lub jednolizbowych chat, w których to izbach w zgodnej „harmonii” koegzystuje odór strawy gotowanej dla bydła, z zapachem nledopranych onuc. W chacie tej oczywiście umyć się trudno, bo — nie mówiąc o luksusie łazienki — nawet kąpa do mycia i prania również nie przewidziano.

Bardziej atrakcyjnie położoną wieś polską odwiedza w lecie mieszkańiec miasta, którego nie dziwi wcale zastany prymityw. — Przez jeden lub dwa miesiące letnie można przecież znieść konieczny przemarsz na dwór do wygodki i taką samą wędrowkę z każdym kubkiem czystej lub brudnej wody.

Młodego absolwenta uczelni architektonicznej, który zawadzi o wieś, z początku ten stan rzeczy zdenerwuje.

— Powoli sprawa wsi i jej budownictwa wyda się niejednemu jakimś mistycznym terenem, odizolowanym od wszelkiego kontaktu z epoką i postępem. U najwytrwalszego szermierza postępu przyjdzie chwila, kiedy oswoi się z tą makabryczną sytuacją i uzna ją jako zło konieczne i nieuchronne. — W polskiej wsi zatrzymał się czas, — czas stanął i basta.



Te i tym podobne myśli miałyby autorem niniejszych uwag, gdy przysłuchiwał się ostatnio kilku naradom na temat budownictwa wiejskiego i małomiasteczkowego w woj. łódzkim. — Czy jest siła zdolna do przeciwstawienia się wrosłym w tradycję narowom niechlujstwa i wstecznicstwa? Wśród toczącej się narady jak przez mgłę, w obłokach dymu papierosów, przypomniały się popularne kiedyś pomysły spółdzielczej wsi Corbusiera, gdzie dwa lub trzy bloki mieszkalne roz-

garaże, boiska itp. wspaniałości.

Niedawno, bo w numerze 41 (1958 r.) „Fundamentów” przypomniano i nasze — polskie — konkretne próby przełamania wiejskiego impasu. Dziesięć lat temu wybudowano od podstaw wieś Piaseczno pod Warszawą. Projektantem był między innymi słynny, nieżyjący dziś autor rewolucyjnego projektu Releigh-Hall w Stanach Zjednoczonych A. P. — Maciej Nowicki.

I co z tego? — píše autor artykułu w cytowanych „Fundamentach”. — Co z tego, że projekty były oszczędne, dobre — budynki nowoczesne i estetyczne? Nikt nie starał się naśladować tych wzorów. Nikt — mowa o administracji — nie wyciągnął należytych wniosków z doświadczeń Piaseczna. Zapewne niejedno takie Piaseczno zdołało ujść uwadze odrętwienia w marzmiem władz urbanistycznych i architektonicznych ostatniego dziesięciolecia. Walka o upowszechnienie wyższego stylu życia dla szerokiej mas, a co za tym idzie dostarczenia tym masom nowoczesnego mieszkania dała już pewne rezultaty, ale tylko w mieście. Nie do pomyślenia jest dzisiaj program budynku ZOR-owskiego, nie przewidujący w mieszkaniach łazienek i podstawowych instalacji. Natomiast wieś, poza nielicznymi wyjątkami PGR, stanowi niekiedy cywilizacją teren.

Obrazy inicjowane przez nowe i pełne zapachu kierownictwo — Wojewódzkiego Zarządu Architektoniczno-Bu-

wiązywały w jednej wsi potrzeby mieszkalnictwa, a poza tym — ach fantazja — dowlanego (szefem WZAB jest pozyskany dla Łodzi rodowity poznaniak) przeniosły się do lokalu SARP-u i ich przedmiotem był innym razem projekt odbudowy rynku Nowego Miasta. Jak wiadomo, jest to małe miasteczko, którego uległa zniszczeniu w wyniku huraganu. Na naradzie podniosły się stare, jakże śmieszne i jałowe spory „O czystość tradycyjnej formy”. O jej należyte wysublimowanie i „nieskażenie nowoczes-

# LUNAPARK

Gimnastyka

DLA KOBIEC

Najpożyteczniejszym ćwiczeniem dla kobiet, poza codziennymi ćwiczeniami przed lustrem, są niestabilne zabiegi o zdrowie duchowe i cielesne starzejących się męzów i rosnącego potomstwa. Nawet dziesięcioletnie należenie do Ligi Kobiet nie zwalnia niewiasty od obowiązków utrzymania tego zdrowia na przyzwoitym poziomie, nie uprawnia do nieznanomości zasad gotowania. Pomimo faktu, że kobieta w pochodzie ewolucji gatunków później od mężczyzny zeszała z drzewa, żadna słabość tego płochego stworzenia nie zwalnia go od znajomości najprostszych zasad logicznego myślenia oraz faktu, że kobieta była, jest i będzie niewolnicą. Gimnastykę dla Bab podamy w jednym z następnych numerów.

Nie zapomnieli o Tobie. Dieta Chambersa, przystana nam przez sympatycznego Kazika Dmuchawca z Wąprzawy nad Wilgą, sprowadzi na Ciebie ożywczy sen pozwalając Ci stracić to, nadmiar czego Cię męczy.

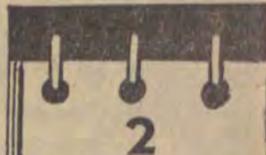
Pierwsze śniadanie (wcześniejsze spożyte): Dwa żeberka baranie, dokładnie obrane z tłuszczu, pieczone lub gotowane oraz suchary okrętowe (dla odmiany gotów lub dziczyzna albo ryba w odpowiedniej ilości). Jako napój woda sodowa lub zwykła, ew. filiżanka herbaty bez mleka na sposób rosyjski (z grubym plasterkiem cytryny).

Drugie śniadanie („lunch”): Dwa żeberka baranie, dokładnie obrane z tłuszczu, dla odmiany gotów, dziczyzna itd. jak wyżej. Kieliszek wina burgundzkiego i kłaretowskiego z wodą.

Obiad (najlepiej o godz. 6): Zupy i ryby unikać! Główną potrawą znowu baranina lub wołowina gotowana! Do tego trochę sucharków oraz jarzyn obfitujących w chlorofil i skrobię (mączka!), jako to: kapusta, sałata, szpinak, włoski groch, selery w małej ilości lecz nie kartofle!... Słobab podamy w jednym z dyczy, jaj, piwa unikać jak arseniku.

Najwierniejszym przyjacielem chudości jest wino kłaretowskie, najgorszym — szampańskie.

Wieczorem: Szklanka herbaty na sposób rosyjski, nieczdo wody z lodem.



listopad

Kalendarzyk tygodnia: Wszystkich Świętych. Imieniny wszystkich. Pomimo ustawicznego zwiększania się światowych zasobów węgla kamiennego na skutek ożywiania się akcji palenia w starych piecach przez diabłów, krajowe ceny materiałów opałowych nadal utrzymują się na niepokojąco wysokim poziomie. Zapałki, mienie państwowe, lasy w dalszym ciągu uważane są przez nieostrożnych palaczy za substancje niepalne. Klín zachodnio-europejskiego nizu jest wybijany przez klíny nizu wschodnio-europejskiego.

I znowu zawita do Ciebie wiosna, nieszczęsna Analteo Smogorzewa, znowu kwitnąć będziesz. Skąd wziąć o tej porze cytryny, suchary okrętowe, lód, to będzie wiedzieć kierownik najbliższej placówki delikatesowej.



KĄCIK DLA OBYWIEC

Ob. Elizabeth Zabiello z Smogorzewa k. Białogostoku pisze:

Chociaz jestem ludożco podobna do Elizabeth Taylor i przepadam za baraninka, to lekarze zabraniają mi jeść to mięso, ponieważ jest ono za tłuste (ważę 110 kg. przy wzroście 165 cm!). Niekiedy zdaje mi się, że jestem wyższa, że waga jest odpowiednia dla mego wzrostu, lecz ciągle zbija mnie z tropu powiedzenie mego narzeczonego: „Jesteś podobna do Taylorki, ale droga Lizzy, stajesz się coraz grubszą klusą!”. Czy można żyć w takich warunkach? Czy medycyna zapomnieli o mnie?

Obywatelka Jawnuta Margielowa z Nowych Świecian (począ: Sapy) pisze: „Angil-dobrywał będzie spod przedkom, jak wiadomo, bardzo smakuja takie konserwy serwowane szezki, wetknie z drobiu, jak gęsi z ja w pysk swemu zwierzęciu grzybami, kaczki w potrawce, i napoi je wodą, też zakury z pieczarkami, indyki w konserwowanej przez odpowiednie krajowe zakłady garmazeryjne. Jak się do wiadujemy, Towarzystwo O-na Dolnym Śląsku rozpoczęły produkcję innych potraw, tak poszukiwanych w Polsce, jak konserw paszowych: 1) Szezkapusta na słodko w puszkach, barszczyk na kościach z rurą, zalewajka, tłuczone ziemniaki, karpelce z kminem, makaron z powidłanką, zupa ziemniaczana? Czas już pomyśleć o rynku wewnętrznym i wygodzie gospodyni!

I do wygód dobruśmy, za troskana Jawnuto. Zbliża się czasy, że nowoczesna gospodyni mieć będzie pod rączką i konserwowane zapasy tłuczonych ziemniaków i zimowych kapustek w puszkach, nie braknie hermetycznie zamkniętych siołków z gotowanymi kaszami i bo-

(Dalszy ciąg odpowiedzi, scenariusza „Trędowatej”. losów Yeti i początek „Kącika przeciwalkoholowego” w nast. nrze.)

Lunapark redaguje Zygmunt Fijas. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy kierować: „Odgłosy” — z adnotacją: „Dla Lunaparku”.

nością” — a mieszkańcy Nowego Miasta ślą p-onoc do Woj. Zarz. Arch. i Bud. w Łodzi delegacje i protestują przeciw finansowanemu zresztą przez państwo, mieszkaniom z łazienkami, w blokach. — Ci o barokowych formach — a oni przeciw łazienkom!

Zasadniczy problem pozostaje więc, jak się okazuje, nadal otwarty: Co robić? — Jak wyrwać polskiego chłopca z prymitywnych dążeń i upodobań? — Problem narzmięwa, gdy weźmiemy pod uwagę niewątpliwą wzrost zamożności chłopca, w kującym i najmniej celowym porównaniu ze stanem przedwojennym. Aspiracje chłopskiew miare wzrostu dobro-

bytu rosną, ale wyladują się nieraz we wręcz zaskakującym i najmniej celowym kierunku. Symbolem takich aspiracji może być autentyczne zamówienie (anno 1958 rok) barokowych mebli, na wysoki połysk, złożone przez chłopca z podlódzkiej wsi. Fortepiany i gdańskie szafy coraz częściej wędrują do nie przewietrzanych, ciasnych chat wiejskich, których odrzwia trzeba nieraz wylamywać w tym celu. Rośnie zamożność chłopca, a wraz z nią wzrasta niestety i roz-wija się dzikie wiejskie budownictwo — znamię narastającego dystansu polskiej wsi i miasta.

Łódzkie władze architektoniczno-urbanistyczne urzędu

województwie zdobyły się wreszcie po 12 latach biernego tolerowania anarchii budowlanej na wsi, na lokalne zarządzanie, zabraniające wznoszenia domów bez zatwierdzonego projektu. Jest to pierwszy krok na drodze ukrócenia tradycyjnej samowoli. Jeżeli za nią pójdzie stała i energiczna kontrola (a! poza tym wiele, wiele innych rzeczy, o czym będzie mowa w następnym artykule niniejszego cyklu) to jest nadzieja wprowadzenia — wbrew woli zainteresowanych — „cywilizacji pod strzechy”, przepaszam, pod prefabrykowane stropy przyszłych, nowoczesnych chat wiejskich.

# OPERETKA TEATRALNA PRZYBYTKOM MELPOMENY

LODZKIM

Teatru pan i bóg, teatru pan i bóg!  
Sławny głównie dlatego, głównie dlatego,  
Iż własnych szukam dróg, ach własnych  
szukam dróg!

KOCZANOWICZ (na mel. ze „Strasznego  
dworu”)

Ten spryciarz Dejmek już od lat  
Spektakle świetne ma...

NOWICKA (na tę samą mel.)

Lecz to dyktator, prawie kat  
Dlatego jeszcze trwa...

WIDZ (na mel. „Co się stało we dworze”)

Gwałtu na co ja patrzę!  
Co się dzieje w teatrze?  
Hojta drata, hojta drata...  
Wielki bigos z wszystkich sztuk,  
Dejmek szuka nowych dróg...  
Hojta drata, hojta drata...  
Gdy zawiedzie go wiedza,  
„Starsze panie” odwiedza,  
Hojta drata, hojta drata...  
Gdy go weźmie ochota,  
Dojdzie aż do „Żywota”.  
Hojta drata, hojta drata...

SZEKSPIR:

Grać mnie, lub nie grać?  
Dyrekcja gwałt czyni,  
W tym hamletowskim wciąż tkwiąc  
problemacie.  
Kwestię rozstrzygnął sam pan  
A. Bardini;  
Wszak dzięki niemu dziś „Henryka”  
macie.  
Lecz częściej jestem znów grywany,  
Miłe mi bardzo to zjawisko,  
Na trzy już sceny jam wezwany,  
A więc nie cenią mnie tu nisko!

KOCZANOWICZ

Ach mistrzu, który zszedłeś tu  
z Parnasu,  
To po prostu o nic zbyt wiele  
hałasu.

SZEKSPIR

Zbyt wiele? Nie! Zbyt mało!  
Zbyt mało w tej sztuce  
Poświęciłeś chodzenia po scenie nauce.  
Stąd męskość siłą kroków Klaudio chce  
okazać,  
Na co się, jako autor, z trudem mogę  
zgadzać!

JONTEK

Nieszczęsna Halka! Gwałtem tu idzie!  
Za mało jeszcze krzywdy w jej biedzie.  
Cóż z nią uczynił Dejmek okrutny?  
Gdy widzowie to zobaczą, umrzeć gotowi!

HALKA

Jako od wichru krzew połamany,  
Tak się opera zmieniła!  
Gdzieś, ach gdzieś, Halko klasyczna,  
Swe dekoracje straciła?  
Zabrał mi wszystko wielki Kazimierz,  
Zmienił mnie całą niebogę!  
Szukam kościoła, by go podpalić  
I nigdzie znaleźć nie mogę, ach nie  
mogę!

WIDZ

Lamały nogi łódzkie talenty  
Z wersją nie godząc się nową,  
Dejmek za „Halke” został wyklęty  
Zszargał świętość narodową!



WIDZ (na mel. z „Pięknej Heleny”)

Raz teatry w mieście Łodzi  
Spór zacięty wiodły wraz;  
Gdzie publiki więcej chodzi,  
Który jest najlepszy z nas...

KRYTYK Evoe! Gdy teatrowi głos krytyki

szkodzić ma,  
Evoe! Wtedy najgorszy całkiem dobry  
spektakl da!

KOCZANOWICZ

Gdy do Łodzi przyjechałem, by w „Po-  
wszechnym” ująć ster,  
Dawnych laurów cień zastałem, słabe  
echo sławnych gier!

KRYTYK

Evoe! Na „Celestyn” grobie smętnie  
teatr siadł;  
Evoe! „Wieczny wędrowcze” czyś  
nareszcie znalazł ślad?

KOCZANOWICZ

Ogromna mnie czekała praca,  
Ten teatr prawie się wywracał,  
Zespół się w pył i proch rozpadł  
(Warszawa młodym jest zbyt rada).  
Już ustaliłem repertuar:  
Klasyki — świetny rezerwuwar;  
A że mam skołataną głowę,  
Więc w takie rymy wiązę mowę.

Cóż to za postać dostojna kroczy?  
Ach! To kobieta! Czy mnie mylą oczy?

S. NOWICKA

W dwóch placówkach moja władza  
Wielu ludziom nie dogadza.  
Cóż by się w teatrach działo,  
Gdyby kiedyś mnie nie stało?



WIDZ (na mel. „Raduje się serce...”)

Raduje się serce, raduje się dusza,  
Gdy dzielny Malborough na wojnę  
wyrusza.  
Oj da dana, dana, wszędzie dzisiaj zmiana,  
Czupryna amanta też przefarbowana!  
Szczęsna dla teatru zaczęła się era,  
Gdy nowy dyrektor sezon nam otwiera.  
Oj da dana, dana, dyrekcjo kochana.  
Nie masz to, jak nowe dyrekcje!

KRYTYK

Po cóż nam nowe bogi?  
Oto dyrektor drogi!

DEJMEK (na mel. marsza z „Pięknej He-  
leny”)

Jam jest dyrektor „Nowego”, dyrektor  
„Nowego”.

DEJMEK

Nie szukam sztuki za dalekim oceanem.  
Ona mi z kart historii wyjdzie na  
spotkanie!  
A dramat? Dramat z Reja wezmę kart!

MIKOŁAJ REJ

I cóżem ja, wdy krzywa, uboga sierota,  
A snać od swych najwięcej używam  
kłopotu,  
Ja staram się o wszytki, ale o mnie  
żadny.  
Tak mnie marnie poblaźnił reżyser  
szkaradny.  
Wziąwszy z dramów postronnych po  
trocha figlików;  
Ujrzyście tam Józefa z rodu Winkelridów,  
Pośród jego żywota prześcignię  
wrażona  
Scenka coś jakby z „Kramu” Schillera  
Leona  
I tam Rzeczpospolita górną swoją mową  
Dziwno mi przypomina „Noc  
Listopadową”,  
A insze figle żaków (znane  
wircipięty)  
Są znowu z „Poematu” Makarenki  
wzięte.  
Tak przyrządziwszy bigos z sztuk swych,  
dobrodzieju,  
Zapomniałeś mosanie dyrektor o Reju!  
Więc tedy stawam tutaj ma skromną  
persone;  
Wspomnij i na autora grając sztukę  
moją.

KOCZANOWICZ I NOWICKA

O, jak się serca nasze tym uweseliły!  
Raz się jemu dostało! Jakiż ten Rej  
miły!

DEJMEK

Ach, ja dzisiaj pecha mam,  
Oto idzie Szekspir sam.



DEJMEK

Gotów się zemścić na nim szparko  
I oddać mi za „Miarke” Miarką”.  
Kłosiński ratuj mnie,  
Dyrektor błaga cię,  
„Paniczów dwóch z Werony”  
Na pomoc przyslij mi!

KŁOSIŃSKI (głos zza sceny)

Nie mogę dyrektorze,  
Niech raczej pan pomoże!  
Ja z jednym sobie radę dam,  
Drugiego załatw sam!

DEJMEK

A oto jeszcze jeden eksperyment.  
Gdzie jest twa mama, chłopcze? Gdzie,  
dziecko, twój tato?

JULIAN BRYSZ (na mel. „Wszystkie  
rybki...”)

Wszystkie rybki śpią w jeziorze  
Plum, plum, plum, plum, plum, plum,  
plum,  
A „Pstrąg” biedny spać nie może  
Plum, plum, plum, plum, plum, plum,  
plum,  
Bo o ósmej wciąż go budzi  
Plum, plum, plum, plum, plum, plum,  
plum,  
Zachwycony tłumek ludzi  
Plum, plum, plum, plum, plum, plum,  
plum!

WIDZ (na mel. „Szumią jodły”)

Szumi woda w młodych głowach  
Szumi, że aż ha!  
Lecz czy Rada Narodowa  
Salę „Pstragom” da?  
Bowiem występując w łaźni,  
Teatryk się trochę blaźni  
I o wiele by się różniej  
W nowej sali czuł!

DEJMEK

Zakwitwały paki białych róż,  
A mówiono, że najlepszy już.  
Tak mówiono w Polsce już od lat.  
Robili nadzieję, że pojedą w świat!

KRYTYK

Przekwitwały paki białych róż,  
Byłeś przecież w Jugostawii już.  
Każdy tylko Paryż widzieć chce.  
Może w przyszłym roku wreszcie uda  
się!

WIDZ

Co?? W przyszłym roku? Axer pojedzie!  
Lub inny znów teatr z Warszawy.  
„Nowy” zostanie choć prym wciąż  
wiedzie,  
„Pagart” dlań nie jest laskawy!

DEJMEK

Twardowskiego znam czary,  
Wskreszę ducha Barbary  
I historię po drodze  
Z awangardą pogodzę!



WIDZ

Gwałtu, na co ja patrzę!  
Co się dzieje w teatrze?  
Wielki bigos z wszystkich sztuk,  
Dejmek szuka nowych dróg...

KURTYNA



# Poeci prowincji i poeci narodu



Centralizacja życia kulturalnego — jeden, jak wiadomo, z zasadniczych przejawów minionego okresu — nie ograniczała się do ściągania za wszelką cenę do Warszawy co leżących piór, łączyła się ona ściśle z etatyzacją, była jej pochodną. Etaty zostały dość szybko obsadzone przez tych na ówczesne istnienie młodych ludzi, którzy najwcześniej i najgłośniej dojrżeli i dość szybko znaleźli się w mieście centralnym. Ponieważ, że użyje terminologii fachowej, siatka etatów jest pewną wielkością określoną i stała, dość szybko etaty zostały rozdysponowane, łącznie z etatem dla zaopatrzonego w tragizm czasów i pokolenia poety elegijnego, który to etat objął Różewicz. A zatem wakanse mogły się zdarzyć praktycznie wtedy, jeśli w gronie poetów centralnych zaistniał jakiś przykry wypadek odchyleń.

W tych to czasach ułtaria się nomenklatura pokutująca jeszcze do dziś. Jeden z poetów opatrzonej jest etykietą „ogólnopolski”, drugi słyszy o sobie że jest „poetą łódzkim”, „bydgoskim”, „kieleckim” itp. Pamiętamy, jak swego czasu zjechało odgórnie do Łódzkiego Oddziału młode małżeństwo poetów ogólnopolskich i wypało ostrą reprimendę potulnie zgromadzonym łódzkim kolegom, że nie chcą być w żądanym stopniu „poetami łódzkimi”.

Należy dodać, że dla częściowego zlagodzenia tych strukturalnych dysproporcji, poeci prowincjonalni mieli praktycznie możliwość drukowania raz w roku czy raz na dwa lata swych reprezentacyjnych utworów w centralnej prasie literackiej. Przywilej ten na ogół respektowano. Fakt, że była to prasa firmowana przez Zarząd Główny Związku Literatów, umożliwiał jakąś odgórną kontrolę polityki redakcyjnej, ukroć naturalne zapędy do wyłącznego drukowania siebie i „swych” i pozwalał na rezerwowanie niektórych szpał dla „kolegów” z Pacanowa.

Niewspólnie gorzej było z wydawaniem. Wchodziły tu bowiem dodatkowo w grę ostre na ówczesne restrykcje papierowe. Limitowany papier ledwie wystarczał na apetyty poetów centralnych, tym bardziej że i ich tomiki, z winy samych autorów, wreszcie z powodu abominacji samych księgarzy do tych księżeczek — znikomo przecież wpływających już choćby przez nakład na wykonanie planu, a do tego niezbyt atrakcyjnych — rozchodzily się z pewną trudnością. Jak się więc przedstawiała sytuacja, wskazuje najlepiej przykład z naszego podwórka. W Oddziale Łódzkim posiadającym w początkach „okresu” kilkunastu tzw. członków — kandydatów (literatów bez książek) między rokiem 1949, kiedy to wyszedł (częściowo nakładem autora) jednocarłuszowy tomik Igora Sikiryckiego, a 1956, kiedy to pojawiły się na witrach księgarskich tomiki — Czarnego i mój, nie notuje

się ani jednego poetyckiego debiutu.

A przecież ci młodzi, i z biegiem czasu coraz to mniej młodzi ludzie, pilnie uczęszczali na Sekcję Poeci (samokształcenie ideowo-warsztatowe w drodze „koleżeńskich dyskusji”), patronowali w charakterze doświadczonych kuratorów analogicznemu kształceniu na niższym szczeblu tzw. „Kola Młodych” (które rekrutowało młodzieńców zamocowanych z trudnościami rymotwórczymi) i pisali a pisali, aż „Głos Robotniczy” i łódzka „Panorama” nie mogły nadążyć z drukowaniem.

Lecz po co zbiegłe wywoływać wieki? — jak mówi jakiś wielki poeta, a więc na pewno Julian Przybóś.

Zdobycie Nazwiska, a więc i uznania, która jest niekiedy skrytym, ale zupełnie naturalnym i bynajmniej niewstydlivym marzeniem każdego z nas — to nie tylko kwestia talentu. To również i kwestia pewnych dyspozycji życiowych, w tym — minimalne przedsiębiorczości (minimalne), bo nie myślę o cwaniactwie, chociaż na wstępie przytoczyłem kilka dość drastycznych przejawów cwaniactwa literackiego, jaka pozwołyłaby na jego ujawnienie w świecie, w którym

działają pewne prawa wolnej konkurencji. Każdy debiutant wie, że pierwszy druk wcale nie jest wierszem — a co dopiero dojrzałym — bynajmniej nie zawsze jest czysto mechaniczną sprawą nalepienia znaczka i przesłania utworu do redakcji, lecz zależy w dużej mierze od sprzyjających rozwojowi talentu okoliczności i od owej minimalnej zaradności.

Wyobraźcie sobie, Biegly lata bez własnych książek, z jedyną perspektywą wydrukowania w najlepszym wypadku raz w roku w prasie, która się liczy. Mijał bez sukcesów naturalny młodzieńczy okres burzy i naporu, zaczęły rosnąć brzoźki, rozwijał się kompleks niepełnowartościowości i co jeszcze niebezpieczniejsze — przekonanie o niezmienności takiego właśnie stanu rzeczy. Nauczono się go z biegiem lat przyjmować za stan zupełnie naturalny. Talenty marniały i obrastały tuzozem.

A potem, kiedy niezmiennie dość raptownie się zmieniło, stracił na aktualności udział na statyczne kategorie i nieskompleksowani młodzi ruszyli lawą „w literaturę”. Skapcałoby czterdziestolatki w ową literaturę

(Dokończenie na stronie 9)

WIESŁAWA GROCHULA

Książka Tygodnia

## Słownik a sprawa polska

czyli „Listy do Pani Z.”  
Kazimierza Brandysa

O to zbiorek 15 felietonów z podróży. Kazimierza Brandysa „Listy do Pani Z”. Felietony z podróży? Ba, gdyby nie te nazwy: Civitavecchia, Asyż, Ostia! Potomnym zostawiam ważki problem, gdzie Brandys sypiał i czy zwiędzał Coliseum. Współczesnym — polecam gorąco lekturę „Listów”. Wprawdzie padniecie ofiarą szarlatanerii, bo o tym samym można pisać i na Krakowskim Przedmieściu, a nagłówki Wenecja. Asyż są tylko pretekstem, ale jakże uroczą i inteligentną to szarlataneria. A wreszcie o tym samym — to nie znaczy to samo.

Tomik nosi podtytuł „Wspomnienia z teraźniejszości”. Teraźniejszość, bo tak chce kalendarz. Wspomnienia — bo zapiski z podróży tyle mają wspólnego z podróżą co Kisielowe „Dwa wieczory bez wątpliwości” z meczem lekkoatletycznym USA—Polska.

Nie bądźmy złośliwi. To nie tylko bardziej elegancko jest zamartwiać się polską historią w rzymskich muzeach i deklarować wierność warszawskiej codzienności przy biurku hotelu w Orvieto, to także rozsądniej próbować spojrzeć na polską rzeczywistość i polskie kompleksy z okna Europy.

Zresztą przeczytajcie. Nowy tomik autora „Obywateli” to nie tylko ciekawostka biograficzna. To rzecz... „o tradycji, filozofii podróży, espresso, recenzjach (tych z połowy ubiegłego stulecia — i tych obecnych), gołębiach z placu św. Marka, turystyce, Niemcach z baedekerami, Polakach za granicą, turystyce i nierządzie, przełomach historycznych, masie towarowej, „Przekroju”, suszonej kiełbasie, fasonach narodowych, opinii publicznej, Onufrym Kieckim, trwaniu i

mijanin, Sagance, welt-schmerz, Przemysłu, gościnności, Julianie Sorel, św. Franciszku, europejskości, autostradzie pod Katowicami, trudnym synostwie geniuszy, pięknie renesansu, wyborze, arcydziełach, sztuce, obsesjach, przeszłości i przyszłości, konserwacji Krakowa, wycieczkach z Myślenic, itd., itd., itd.

A jeżeli o tradycji — to polskiej, a jeżeli o Niemcach karmiących weneckie gołębie — to przez pryzmat doświadczeń warszawiaka. Niewiele dowie się o Europie czytelnik żądny opisu. Niech nas nie zwodzi stale obecny ton dystansu i świetnie bliski inteligentnej autoironii. Rzecz jest o sprawie polskiej przez Polaka, a świadomość garbu wcale go nie zmniejsza. Wreszcie — wszystkich nas przeciętnie interesuje to samo. Wszyscy bardziej się emocjonujemy „trajdaniem się z Grochowa pod kandelabry” (o czym jest u Brandysa) niż podziałem dochodu narodowego we Włoszech (o czym u Brandysa nie ma).

Nieczego nowego książeczka Brandysa nie uczy. Ale te banalne (głoszę za rehabilitacją tego słowa) myśli, które zawiera, napisane są z takim wdziękiem i urodą, poparte taką ilością szczególnych pomysłów i dowcipu, że czytanie jest nieczęsto spotykaną i pożyteczną przyjemnością.

„Piszę lekko, kragtymi zdaniem, dbając, by nie narząca na zbędny wysiłek umysłu czytelnika. Pracowitością swoją i rozsądkiem osiągnąłem zasłużoną nagrodę: jestem dziś ulubieńcem krytyków”. Wielkodusznie darujemy tę obustronną złośliwość. Po „Listach do Pani Z.” nazwijmy autora również ulubieńcem czytelników.

Kiedy przed dwoma laty — z okazji 10 rocznicy śmierci Pawła Hulki-Laskowskiego poświęciłem mu na łamach „Kroniki” niedługo wspomnienie, wyraziłem w zakończeniu opinii, że należałoby wznowić i u-przystępnić szerszej publiczności niejedną pozycję z dorobku świetnego pisarza, który rozległością swej wiedzy i zainteresowań budził podziw wśród krytyki i czytelników. Z głęboką satysfakcją stwierdzam dzisiaj, że opinia moja nie pozostała odoobniona. Na półkach księgarskich ukazało się pierwsze powojenne wydanie „Mojego Zyrardowa”, która to książka należy do najcenniejszych i najtrwalszych dzieł w autorskiej spuściznie Hulki-Laskowskiego.

Starsze pokolenie pamięta dobrze „Mój Zyrardów”, który w swoim czasie stał się sensacją nie tylko literacko-wydawniczą. Młodzi czytelnicy powinni tę książkę przeczytać uważnie i bez zwłoki, by zacerpnąć z niej mnóstwo pouczających wiadomości o sytuacji robotnika polskiego w okresie lat 1885 — 1935, to jest w ciągu półwiecza.

W „Moim Zyrardowie” autor — w sposób niezwykle interesujący i głęboki — spiął w jedno dwa wątki: autobiograficzny i historyczno-społeczny, dotyczący losów robotniczego miasta Zyrardowa. Ten drugi wątek bierze zdecydowanie górę w tym miejscu książkowej narracji, gdy zakłady zyrardowskie — wyszedłszy z fazy, jeśli tak rzecz można, kapitalizmu, patriarchalnego — dostały się w zachłanne łapy eksploatatorów francuskich, ze słynnym Bous-sakiem na czele. Nieludzki wyzysk, ustawiczne redukcje, głód i niedza stały się wówczas tragicznym udziałem robotników Zyrardowa. Hulka-Laskowski, syn i stały mieszkaniec tego proletariackiego osiedla, przez kilka lat przy pomocy prasy, mobilizował niezmiernie opinię publiczną całej Polski przeciwko nikczemnym rządcom Bous-saków i Koehlerów. Nacisk tej opinii stał się w końcu tak wielki, że władze sanacyjne zmuszone były przejąć fabrykę zyrardowską pod zarząd państwowy co w pewnej mierze polepszyło sytuację pracowników i całą „afere” postawiło w pełnym świetle dnia.

Hulka - Laskowski zadedykował swą książkę „robotnikom zyrardowskim, towarzyskom walk i porażek, z wyrazem niezłomnej wiary w ostateczną zwycięstwo”. Najbliższe swemu sercu sprawy

# MÓJ ŻYRARDÓW

po latach

rodzinnego Zyrardowa, podobnie jak inne, szersze i ogólniejsze, zagadnienia społeczne. Hulka-Laskowski traktował z pozycji radykalnego liberala i szlachetnego humanisty, dla którego wolność i sprawiedliwość nie są pustym dźwiękiem, lecz konkretnym celem długiej i wytrwałej walki. Walki, której na swym odcinku działalności był chorążym i animatorem. Ale tak, jak wielu czołowych przedstawicieli inteligencji polskiej okresu międzywojennego — pod wpływem upartych faktów i niezliczonych doświadczeń życiowych — Hulka-Laskowski zbliżał się ku socjalizmowi i, gdyby nie śmierć, doszedłby doń niewątpliwie. W „Moim Zyrardowie” ukończonym w r. 1934 można by znaleźć wiele cytatów, uzasadniających powyższą tezę. Poprzestaną na jednym przytoczeniu.

jest i czym będzie. Z hall fabrycznej wyparł człowieka-robotnika, magazyny przepelnił towarami, dla których nie ma zbytu. Po ulicach miast przemysłowych snują się tysiące bezrobotnych. Jego naturalnym hasłem było: władza i zysk. Dzisiaj, gdy cały świat cierpi z jego winy, czynna zasada kapitalizmu nie uległa zmianie.”

Kto doszedł do takich uświadomień, nie zawrócił już z pół drogi, wiodącej do radykalnej przebudowy ustroju, do socjalizmu. Po tej drodze uparcie kroczył naprzód Hulka-Laskowski, zawsze wierny swym wysokim ideałom osobistym, które były i są zarazem najszczytniejszymi ideałami ludzkości.

## Drzewo

My  
DRZEWO ROZPACZY  
Zalamane  
ręce gałęzi naszych  
kora zmarszczona  
dojrzeniem przedwczesnym  
schyłone czoła patrza  
na dionie liści  
opadłych  
gąsienicami  
czasu  
Drwał już się nam przygląda  
Chmury błyskaniem grożą  
rąk zalamanym gestem  
dajemy znak protestu  
My  
najdoskonalsze tworzywo  
któremu  
kazano oglądać  
wielkie grzyby zniszczenia.

WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI  
R y s. HENRI POULAIN



# POCHWAŁA STAROŚWIECCZYNY

Był to uroczy wieczór. W październiku roku 1958 w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi dano komedię w pięciu aktach Józefa Korzeniowskiego „Majątek albo imię”. Przedstawienie przyjęte zostało przez publiczność gorąco. Nawet bardzo gorąco. Oklaskiwano więc reżysera, Karola Borowskiego i scenografa Jana Marcina Szancera, który zbudował śliczne dekoracje Ogrodu Saskiego i salonów starej Warszawy (jak żywe, jak żywe); oklaskiwano też znakomitych wykonawców i autora. Rzekłbym, że autora przede wszystkim. Po oklaskach szczerych i nieodmierzonych panie w plisowanych sukniach z jersey'u i w sukniach — wórkach i w sukniach — trapezach oraz panowie w czarnych garniturach z wąskimi (sześć do ośmiu centymetrów) kłapami wychodzili, by wypalić papierosa. To czas antraktu. Panie (wysnione nigdyś przez Christiana Diora) marzyły o sukniach długich i obfitych, zdobionych koronkami, panowie o trzewiakach z kłamrami, o frakach błękitnych i fiolkowych. Dyskutowano inscenizację i gre aktorów. Ale przede wszystkim dyskutowano autora. Nie było natomiast mowy o teatrze Eugene Ionesco i o teatrze Christophera Fry'a. Józef Korzeniowski, pisarz wrogowy i nowinkowy, stał się pisarzem modnym. Wypada więc powiedzieć o nim słów kilka.

Józef Korzeniowski urodził się w roku 1797. Zmarł w roku 1863. Napisał „Karpaczkich góralki”, „Pannę meżatke” oraz „Majstra i czeladnika”. Także „Wasy i peruke”. Także „Majątek albo imię”. Jak poucza nas podobna dramaturgia, nosił on okulary w drucianej oprawie, piękne bokobrody i lśniącą kamizelkę z wąskimi kłapami. Był — a przynajmniej jest — pisarzem tak nudnym i zbędnym, jak nudne i zbędne są zapisane powyżej zdania. „Majątek albo imię” nie zaleca się ani wdziękiem, ani wątkiem interesującym, ani walorami wiersza. A treści? Treści tej komedycji są, być może, aktualne. To znaczy, mogą zostać odczytane aktualnie, potraktowane jako apel do umysłów i serc. Oczywiście, do umysłów i serc rodaków, braci. Nie należałoby natomiast poddawać treści tych ocenie intelektualnej. Wtedy bowiem okazałoby się, że nie było powodów do tego, aby „Majątek albo imię” zaprezentować naszej widowni. Myśli i wzruszenia naszych prababek! I to zamknięte w kształt trzynasto-złogłokowca bezbarwnego, jałowego, przypominającego roślinę pozabawioną słońca! A nas cóż to może obchodzić? Niestety, okrutny czas nie oszczędził utworów Korzeniowskiego. To smutne, być może. Ale oczywiste. Oczywiście dla tych, którzy znają proces odchodzenia w niepamięć całych epok i poszczególnych pisarzy, dla tych, którzy wiedzą, że potrzeba kilkudziesięciu lub kilkuset twórców po to, by ocalał mógł jeden, który wie, że literatura jest wielkim emmentarzem o biernie nie zrealizowanych, książek obumarłych, poematów zapomnianych. Korzeniowski był jednym z kilkuset. Ale nie tym, który ocalał.

Czyż więc wystawienie komedijki Korzeniowskiego uznać należy za przedsięwzięcie chybione? Za błąd

reperuarowy? Uznać, wbrew oklaskom nieodmierzanym, wbrew gorącemu przyjęciu widowni? Myśle, że nie. Nie sądzę, by powody, dla których pokazano nam „Majątek albo imię”, były powodami błahymi. Autorowi zbywa co prawda, jak już powiedziałem, wdzięku i siły dramatycznej. Był jednak Korzeniowski znakomitym konstruktorem ról. Posiadał więc umiejętność jakże rzadką dzisiaj! Reżyserzy nasi zdani są przede wszystkim na autorów współczesnych. A c., jak wiadomo, są raczej konstruktorem idei, niż ról. Któryż więc z reżyserów przejdzie obojętnie obok pisarza, który tworzył role? Obok pisarza, który myślał o aktorach?

Ten był więc powód wystawienia przez Karola Borowskiego, nowego dyrektora sceny przy ulicy Jaracza, komedii Korzeniowskiego. Role i to role znakomite, role dla Hanny Małkowskiej, dla Konrada Łaszewskiego i dla Stanisława Lapińskiego. Tych bowiem aktorów wymienić należy przede wszystkim. Oni to — i reżyser wytrawny — nadali ton i rangę spektaklowi. Więc Hanna Małkowska. Zbyt rzadko tę aktorkę mogliśmy dotychczas oglądać. W komedii Korzeniowskiego stworzyła postać — użyjmy tego słowa wylartego — kapitalną. Grała, rzecz można by, ryzykownie, zdawało się, że za chwilę przekroczy granice przez nią sama zakreślone, że kuś! ją karykatura. Była hrabianką Regina, poddana, wierna konwencji wieku; a jednocześnie z konwencji tej drwiła. Konrad Łaszewski pokazał nie tylko karykaturę hrabiego Janusza. Prezentował też rację. Lepsi, bo przewyższający inteligencją i wyrachowaniem pozostałych bohaterów sztuczki Korzeniowskiego, był w gruncie rzeczy jej pozytywnym bohaterem. Wykpiwał nie tyle cudzoziemszczyznę, ile namiętność swych bliźnich. A Stanisław Lapiński? Był inny niż zwykle. I taki sam, jak zwykle. A inni? Wszyscy — prawie wszyscy, bo Ryszardowicz Bacciarrelli wyrażnie nie odpowiadał roli — zaprezentowali aktorstwo, które rzadko w teatrach łódzkich danym nam było oglądać. Karol Borowski obdarzył więc aktorów swego teatru znakomitymi rolami, a nas spektaklem wypielęgnowanym starannie, spektaklem, w którym krytyk złośliwy nie doszukałby się zapewne ni jednego potknięcia.

Czy role — a więc próba stworzenia w Łodzi teatru aktora — były jednak powodem jedynym dla wystawienia Korzeniowskiego? Nie sądzę. Myśle, że inscenizacja „Majątka albo imienia” zrodziła się także z protestu przeciw nowoczesności. Nowoczesności polskiej, a więc tej realizowanej za wszelką cenę, wszystkimi środkami, wszędzie. Ja ten protest rozumiem. Korzeniowski był potrzebny. Może zresztą nie Korzeniowski. I może lepiej, gdyby nie był to Korzeniowski, pisarz zbędny. Potrzebny był, któkolwiek, o walorach nieco podobnych. Jakikolwiek pisarz polski, zalecający się staroświeckością. Taki pisarz, być może, powinien znaleźć swe miejsce w sercach współczesnych. Tak jak w nowoczesnie umeblowanym pokoju znajduje swe miejsce fotel z wytartym obiciem, z poręczą wygiętą i rzeźbioną. Fotel, który świadczy o niezbędnym konserwatyźmie nowoczesnego gospodarza.

Tak, premiera w Teatrze Jaracza świadczy o konserwatyźmie Karola Borowskiego. Jest to jednak konserwatyźm najwyższej próby. A wiemy przecież, że teatr nie może żyć, gdy zostanie oderwany od tradycji, dany wiatrom, zmiennym wiatrom współczesności. Wypada więc opowiedzieć się za propozycją Karola Borowskiego. Z wiarą, że twórcy w Łodzi teatr aktora zechce nadawać rangę nie tylko staroświeczynie, ale też myślał będzie o przybliżeniu nam współczesności, o teatrze Christophera Fry'a czy T. S. Eliota.

Dopisek dla korektora. Szanowny Panie! W numerze 34 „Ogłosów” zechciał Pan nazwać pantomimę Henryka Tomaszewskiego tworem bezwstydnym. Ja nazwałem ją tylko tworem bezstylowym. Czyli pozbawionym stylu, nie wstydu. Co uczyni Pan tym razem? Jak nazwie Pan próbę Karola Borowskiego? Oto proponowane przeze mnie epitety: próba niemiecka; próba pogodzenia współczesności z tradycją; próba porozumienia z widzami. Tak, próba porozumienia.



Państwowy Teatr im. S. Jaracza. Józef Korzeniowski „Majątek albo imię”, Reżyseria Karola Borowskiego. Scenografia Jana Marcina Szancera. Na zdjęciu Stanisław Lapiński i Zbigniew Niewczas



## CAŁKIEM SERIO

Amerycanie otrzymali pozwolenie puszczenia balonów obserwacyjnych ze znajdującej się na terytorium Turcji góry Ararat, gdzie według Pisma Św. miała osiąść po potopie arka Noego.

Rząd kanadyjski prowadzi szeroką akcję propagującą spożycie marynowanego mięsa wielorybów.



Rzecz to wprawdzie dziwna, ale nie mam samochodu. Więcej — zdając sobie sprawę z niewspółmierności moich zarobków do ceny samochodu, zarzuciłem nawet myśl o kupnie pojazdu mechanicznego w najbliższej pieciolatce, i więcej jeszcze — na pociechę ukulem sobie misterna teorię o nieprzydatności samochodu w życiu codziennym. Wszak taniej i praktyczniej jeździć choćby całe godziny taksówkami, niż ponosić koszty eksploatacji własnego wozu. Czy zresztą mania motoryzacji, która opanowała nasz kraj, jest wyrazem realnej potrzeby, czy też raczej snobizmu? Czy nie stoi ona w kolizji z chwałobną zasadą, że tak krawiec kraje, jak mu materij staje?

Dziś w nocy jednak naszedł mnie koszmarny sen. Sniło mi się, że Krzysztof Kolumb, miast wyprawić się na dalekie oceany, przedsięwziął tylko wycieczkę do Pomiechówka. Uniknął w związku z tym szeregu kłopotów, które zazwyczaj mają ludzie pomysłowi, a Ameryka pozostała całkowicie nieodkryta. Sniło mi się także, iż Stephenson nie trawił lat celych na budowie lokomobili, lecz pasjami lubił jeździć bryczką zaprzęgnią w dwa kłusaki. Skutek taki, że po dziś dzień nie ma na świecie kolei.

Obudziłem się w zimnych potach. Jakby wyglądał świat, gdyby żył na nim sami tylko minimaliści, zadowoleni z tego, co łatwo mogą osiągnąć? Gdyby pierwszy jaskiniowiec, który wylupiał sobie nóż ka-

mienny, wolał nadal wygrzebywać z ziemi korzonki, niż przystąpić do produkcji tego pożytecznego narzędzia?

Wygodnictwo, to najsroższa choroba współczesności. Choćbym miał nie dojadać, choćby żona nie miała nowej kiecki, a dziateczki musiały zbierać szyszki na opał, kupię sobie samochód. Świat będzie należał do tych, którzy chcą, a nie do tych, którzy mogą.

## Obsesjoniste

## POWIEDZIELI

Shigem Takagi, który skradł wszystkie reflektory radarowe z bazy lotniczej USA w Chitose: „To był błąd. W sklepie zapłacił mi po 2 dolary 78 centów za sztukę”.

Szeregowiec amerykański, Jezus Martinez, schwytny w El Paso po obrabowaniu sklepu jubilerskiego, wyraził podziękowanie policji: „Gdybym zdołał uciec z tym, miałbym pokusę, aby wejść ostatecznie na drogę przestępstwa”.

Do wydawanego w Atenach po angielsku pisma „News” przysłano następujące ogłoszenie: „Grecka lady pragnie prowadzić konwersację z angielskim gentlemanem na temat Cypru w zamian za lekcje greckiego, niemieckiego lub gry na pianinie”. Redaktor pisma odmówił druku ogłoszenia, oświadczając: „Te lekcje skazane są na niepowodzenie”.



## BRAWO „DRBOS”!

Grupa polskich dzieci z piątej i szóstej klasy szkoły w Siemiatyczach udala się — w ramach zajęć z geografii — na tygodniową wycieczkę do Afryki. Nasze pociechy — jak widać na zdjęciu — znajdują się właśnie na pograniczu sawanny i pustyni.

Taka poglądowa metoda nauki, zdaniem wszystkich pedagogów jest najlepszą metodą kształcenia. Duże brawo dla „Orbisu”!



## POMYSŁY

W Warszawie na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich znajdują się plansze, reklamujące film „Pożegnania”. Jedno ze zdjęć przedstawia aktora (Tadeusza Janeczara), przyglądającego się w zamysleniu ogromnej figurze Wenus. W miejscu właściwym dla listka figurowego nalepił ktoś kartkę z napisem: „Front Odnowy Moralnej”.



W czasie tradycyjnego chrztu nowego okrętu wojennego Indii na stoczni w Newcastle, po raz pierwszy odstąpiono od zwykłego ceremoniału. Miast butelki szampana, żona oficera hinduskiego rozbiła o burzę okrętu orzech kokosowy, po czym odmówiono modlitwę do boga mórz, Varuna.

Do sądu w Walhalla zgłosiło się 37 wyznawców Baptystowskiego Kościoła Ogień Zielonych Świątek — Jeździec Górski, domagając się przywrócenia w prawach swojego pastora. Meskella Lee, który został wydalony za noszenie krawata na ambonie.

Sprzątaaczka w Białym Domu w Waszyngtonie, zajęła pierwsze miejsce we współzawodnictwie pracy, uzyskując prawo do zagrania partii golfa z prezydentem Eisenhowerem.





# BIAŁY KAPITAŁ



Rozpoczął się okres rekrutacji. Dziwny okres nawet dla legionistów, dla mnie tym dziwniejszy, że przydzielono mnie, jako wychowanka szkoły oficerskiej, do specjalnego oddziału, który miał w życiu legionowym odegrać doniosłą rolę, nie wszystkim znaną i wiadomą.

Odesłano mnie do małego miasteczka Sida, odległego o 30 km od Sidi-bel-Abbes, gdzie pod dowództwem kapitana Castani, oficera hiszpańskiego, rozpocząłem szkolenie.

Oto 10 trucizn, które będą między innymi naszą bronią. Tymi dziesięcioma truciznami powinniście zdziałać więcej niż wasi koledzy karabinami maszynowymi. Tam, gdzie bezsilna jest broń maszynowa czy sztylet, tam walczycie będziecie jadem skorpiona, cjanidem, specjalnie spreparowaną saharą, harbą, kus — tymi słowami rozpoczął swój wykład jeden z oficerów posiadających tajniki wiedzy „cichego i bezbolesnego” zabijania.

Jako ekwipunek przydzielono nam jedynie długi arabski sztylet, raczej podobny do noża. To miała być jedyna nasza broń — jednym słowem szkolono nas do walki podjazdowej przeciwko arabskim powstańcom, walczącym pod dowództwem Ab del Kerima w górach Riffu.

Ciekawe, że w szkole tej przebywali także Arabowie, którzy zerwali ze swymi szczepami i całkowicie zaprzekli się Francji. To oni przez znajomość życia arabskiego i arabskich zwyczajów byli najgroźniejszymi wrogami swego narodu. Uczyli nas rozpoznawania zamaskowanych studzien w pustyni, zatrucia ich, odczytywania śladów w pustyni, posługiwania się sztyletem i zdradą. Jedyna chyba szkoła tego rodzaju na świecie.

Zajęć było co niemiara. Pobudka o godzinie 4 rano. Mycie, śniadanie, gimnastyka, wykłady, wymarsz w pustynię. O godzinie 11 obiad na dwie zmiany. Co dzień inna kompania siada pierwsza do obiadu, pełniąc rolę doświadczalnego królika. Przez pół godziny przyglądamy się naszym kolegom, którzy już zjedli obiad, z dużym zainteresowaniem i ciekawością. — Żyj — możemy więc i my jeść — bez obawy zatrucia. Kucharzami są Arabowie, którym co prawda ufamy, ale już niejedyn z legionistów został zatruty — lepiej być ostrożnym.

Po obiedzie, do godziny 16 — siesta. Żołnierze śpią pod moskitierami.

Druga w ciągu tej doby pobudka i znowu 10-minutowa gimnastyka. A później wymarsz w pustynię ze ściśle określonym zadaniem. Pod przewodnictwem wykładowców-Arabów idziemy w odwiedziny do wioski arabskiej, poznajemy zwyczaje, życie tubylców, uczymy się ich języka. Zawieramy znajomości — a wszystko to w celu skutecznego wyniszczenia Arabów.

Wracając, badamy ślady karawan, odczytujemy w piasku ilość wielbłądów i koni, które liczyła karawana, staramy się odgadnąć, ilu ludzi w niej przebywało i jaki wieźli ładunek. Nauka trudna i mozolna, ale jakże konieczna dla legionisty.

Wracamy do koszar o godz. 20 lub 20.30 — mycie i czas wolny. Można iść do miasta. Gdy więc są pieniądze, znowu zwiedzamy knajpy i lupanary. O życiu towarzyskim nie ma mowy. Żaden dom z rzędu tzw.



przywzwoitych nie wpuści w swe progi legionisty — stanowimy kastę ludzi wyklętych, z którymi wstyd jest utrzymywać jakiegokolwiek stosunki.

O 23 trzeba być z powrotem w koszarach — z wieżyczki dominującej nad koszarami rozlega się sygnał — gaszenie światel. Nad koszarami granatowe niebo Afryki. Z ciemnych okien wyglądają ludzie, patrzeć w różne strony świata — każdy w stronę najbliższą sercu — w kierunku, gdzie znajduje się opuszczony dom — matka, rodzina, ukochana, a zawsze ktoś bliski i drogi. Na koszarowym podwórzu głucho dźwięczą kroki wartownika.

Od czasu do czasu nocny alarm i wymarsz w pustynię. A noce afrykańskie są przejmująco zimne, zakładamy ciepłe swetry i wełniane mundury. Często też słychać w koszarach pojedynczy wystrzał, po którym koszarzy zalega przejmująca cisza — to któryś z kolegów samobójczym wystrzałem w usta przerwał swe życie, które utraciło i cel i sens. Takie jest życie w Legii. Samobójstwo, to jedyny wyjście z koszar, nie wymagające próby o przepustkę.

W Sida przebywałem 3 miesiące. I oto ciągnęmy losy — dokąd przydzieli nas po przeszkoleniu? Dostają przydział do elitarniej jednostki zwanej „kompanią Sahara” — jest to oddział, w którym żołnierze otrzymują wyższy żołd, dostają lepsze jedzenie, lepsze umundurowanie. Służba w tej jednostce, niezwykle ciężka, trwa zaledwie dwa lata, żaden z legionistów dłużej by nie wytrzymał. Zadaniem tej kompanii jest praca wywiadowcza, prowokacje między szczepami, wreszcie ubezpieczenie dróg i obiektów wojskowych, zaopatrywanie małych, oddalonych fortów.

W tym czasie „kompania Sahara” miała specjalne zadanie do spełnienia. Głównie na jej barkach spoczywała walka z Ab del Kerimem.

Właśnie w tej kompanii poznałem ludzi z najsłynniejszymi nazwiskami w świecie, jak np. księcia Jean Burbon czy księcia Manfreda Hohenzollern. W kompanii tej również kopał ze mną rowy, znosił worki i obierał kartofle syn generała Weyganda, ówczesnego naczelnego dowódcy wojsk francuskich. Młody Rene Weygand został „zesłany” przez ojca do Legii za karę, przepuścił po prostu w karty ponad milion franków, na domiar złego nie swoich.

W „kompanii Sahara” istnieje zwyczaj zawierania przez wszystkich żołnierzy „braterstwa krwi”. Co to znaczy dowiedziałem się szybko, gdy spod najsilniejszego ognia ze stokrotnym narażeniem swego życia, wyciągnęli mnie różnojęzyczni koledy.

Z „kompanią Sahara” zostałem odesłany do fortu Bon-Denib. Fort ten leży w górach Atlas na wysokości ok. 300 m ponad powierzchnią morza. Wokół rozciągają się nagie skały. Fort jest mały, razem z ludnością mieszka tu 120 ludzi. Dowodzi nami porucznik Brenurle. Fort budowany jest z cegieł piaskowych, wykonanych przez legionistów. Kwadratowe podwórce okala dwumetrowy mur. W rogach bastiony dla karabinów maszynowych. Na placu rozbite są namioty, w których śpiemy. — W każdym po sześciu ludzi. Namiot ma rów, w który na noc kładziemy broń, a to ze względu na kradzieże. W środku znajduje się namiot dowódcy. Za bramą fortu czekają na nas arabskie kobiety, przygodne żony naszych żołnierzy i oficerów.



Za fortem prosperuje także kantyna, której właściciel — największy złodziej pod słońcem, to Grek — Foczlades. W forcie najniebezpieczniejszą rzeczą jest nocna służba na bastionie, a to dlatego, że nigdy nie wiadomo skąd padnie strzał. W nocy trzeba być bardzo ostrożnym. Nie wiadomo skąd, niespodziewanie jak zjawia, wynurza się sylwetka Araba, krótki błysk noża i legionista z poderżniętym gardłem leży na ziemi. Tu nie chodzi o nasze życie, Arabowie polują po prostu na broń, która dla nich ma wielką cenę — cenę wolności. Szczęśliwi jesteśmy, gdy noc jest jasna, wtedy można coś dojrzeć, ale nawet najwidniejsza noc nie chroni nas przed niebezpieczeństwem. W nocy podoficerowie obchodzą placówki i jakże często się zdarza, że na przestrzeni 20 metrów dzielących posterunek od posterunku pada podoficer sprawdzający posterunki. Gdy trąbka gra alarm i cały garnizon staje na nogi, wróg jest już daleko, na ziemi zaś leży tułów nieznanego człowieka, a obok głowa w skrwawionym kepi. Jedno jest pewne, gdy wokół fortu wyją setki szakali szukających żeru — w pobliżu nie ma Arabów.

W taką noc nawet, gdy się jest wolnym od służby, człowiek nie zmruga oka. Wycie szakali jest przejmujące i szarpie nerwy. Często dla żartów ciskaliśmy w zbitą masę szakali granat, na który rzucali się nieprzytomnie z głodu. Granat wybuchł rozrywając kifikanaście sztuk na strzepy, zaś reszta kołując się zżerała szczątki jeszcze ciepłego mięsa. Takie jest prawo życia na pustyni. Liczy się tylko zdrowy i silny, słaby, chory i ranny musi zginąć.

I znowu nowe niebezpieczeństwo — oto na horyzoncie ukazuje się żółta chmura, w powietrzu robi się duszno, piasek wdiera się za mundur, pod kepi. Naciąga tajfun piaskowy. Jest to siła straszna, zmiatająca i zasypująca wszystko co żyje. Chronimy broń, człowiek się nie liczy — ważne jest 88 naboju i karabin.

A w dzień wypadu, wypadu w poszukiwaniu powstańców ukrywających się nieraz bardzo blisko fortu. Pracujemy różnymi metodami. Jedną z nich jest prowokacja, która należy preparować bardzo chytrze, by osiągnąć mieszkali wśród szczepów. I oto jeden szczer kradnie drugiemu stado owiec, podcina palmy bananowe, uprowadza młode dziewczyny. Szczer powstaje do walki przeciw swym współplemieńcom — my mamy zagwarantowany spokój na parę tygodni. Stara rzymska zasada — kłóć i rządź.

Gdy panuje względny spokój, nadzorujemy Arabów zatrudnionych przy budowie dróg, które miały łączyć forty między sobą.

Drugi niezwykle ważny w naszym życiu i systemie rządzenia koloniami, i oto wybucha nagle spór między robotnikami. Jeden z nas nadbiega, by interweniować, wpada w zasadzkę, leży na ziemi żgnięty nożem. Karabin już jest w rękach Arabów i naraz nie wiadomo skąd padają strzały. Jesteśmy otoczeni. Gdy wycofujemy się do fortu, jest nas już o kilku mniej.

Wojna w Afryce trwa dzień i noc bez przerwy. Nie wiadomo kiedy rozlegnie się sygnał do nowej potyczki, nie wiadomo kiedy padnie sygnał przerwania krwawej rzezi. Jesteśmy ciągle w ogniu. Nawet wtedy gdy pozornie nic się nie dzieje, dla nas nie ma chwili spokoju. Każda sekunda nieuwagi może kosztować nas życie — a my nie droższego ponad to przecież nie mamy.

## Poeci prowincji i poeci narodu

DOKOŃCZENIE

nie ruszili. Zbrakło wigoru, nie umieli zapamiętać. Prowincjusze młodego pokolenia stali się nie wiedzieć kiedy poetami ogólnopolskimi. Tamci są tym, czynili, poetami „Dziennika

Łódzkiego” czy „Wiadomości Rzeszowskich”. Nie istnieją na rynku. — „Zapomniane pokolenie”, warszawscy... koledzy równolatkowie — nieskompleksowani i przedsiębiorczy (nie darmo

kiedyś pierwsi najhańsliwiej dojrżeli, ostatecznie zajęcie swego czasu etatów odbyło się droga jakiegoś doboru naturalnego) nie dają się tak bardzo zepchnąć ze zdobytych ongiś pozycji, przysposowują się do nowych warunków, zakładają kuse majtasy i odbywają gorączkowe kuracje odmładzające u tow. Woroncewa. A lokalni poeci — rzeszowscy czy łódzcy stoją w miejscu — ach nie! — cofnęli się. Ongiś posyłali swoje utwory do prasy kontrolowanej przez Związek, do prasy, która miała wyraźny o-



bowiątek drukowania według pewnego klucza. Po sławie otrzymywali odpowiedź: Szanowny Kolego, ponieważ mamy, niestety,

nadmiar materiału, jeden z łaskawie nadesłanych nam Waszych wierszy wydrukujemy na początku przyszłego roku. Obecnie, gdy jedynym kluczem jest nie podany jakimkolwiek rygor dobór towarzyski, z reguły nie otrzymują odpowiedź. Pokłoniem zapoznanie.

Nie idź wbrew pozorom żaźnego apelu. Uważam, że nie miałoby to zresztą sensu. Prawa życia są zbyt obiektywne i działają niezależnie od woli żyjących. Jestem poza tym, odnoszę wrażenie, prowincjuszem w

lepszej nieco sytuacji i wydawany i gdziekolwiek poza Łodzią drukowanym. Wydaje mi się natomiast, że jest obowiązkiem pisarskim nie dostrzegającym i nie rozumiejącym tych rzeczy ukazać z pewną nawet przesadą — problem.

T. CHRÓSCIELEWSKI

odgłosy str 9

Korespondencyjny kurs języka plastycznego  
pod redakcją Henryka Andersa  
(Lekcja druga)

### Abstrakcjonizm (c. d.)

Sztuka abstrakcyjna nie jest przemijającą modą ani szatańskim wymysłem XX wieku. Przeciwnie, jest stara jak ludzka myśl. Narodziła się wówczas, gdy prehistoryczny rzemieślnik po raz pierwszy ozdobił ornamentem narzędzie czy naczynie. Uprawiała ją później — i tylko ją — jedyne uznawano — stepowe plemiona koczowniców. Ludzie (np. Arabowie) troszczyli się o bardzo piękną dekorację swych ruchomości, ale, nie zagrzewając nigdzie miejsca, nie dbali zupełnie o upamiętnienie przypadkowych biwaków. W krajach Wschodu tradycja ta przetrwała do dziś, prawowiernym muzułmanom wszelkiego naśladowania natury zabraniają nawet przepisy religijne.

Inne były tradycje w kręgu kultury europejskiej. I u nas, oczywiście, znano sztukę dekoracyjną, lecz ideałem sztuki ludów osiadłych stało się jak najwierniejsze odtworzenie widzialnej rzeczywistości. Wykorzystując wieloletnie doświadczenia impresjonistów zdobyli wreszcie pełną sprawność. Cel został osiągnięty i z tą chwilą kontynuowanie drogi straciło wszelki sens, zwłaszcza, że równocześnie ujawniła się zwycięska konkurencja fotografii i filmu. Przewrót był nieunikniony. Już w końcu ubiegłego stulecia przypominano sobie, że obraz „zanim stanie się piękną kobietą lub

rumakiem bojowym... jest przede wszystkim płaszczyzną pokrytą barwami ułożonymi w pewnym określonym porządku”.

I oto, jako nowość naszych czasów, abstrakcjonizm wszedł do malarstwa sztalugowego i rzeźby wolnostojącej stanowiących dotychczas nienaruszalną domenę sztuki figuralnej. Zdarzyło się to około roku 1910. Niemal równocześnie i zupełnie od siebie niezależnie podjęto próby zerwania z imitatorstwem w kilku ośrodkach: we Francji, w Rosji, Szwajcarii, Niemczech i Holandii. Za twórców i najwybitniejszych przedstawicieli kierunku uchodzą: Rosjanin Wasyl Kandinsky, Holender Piet Mondrian oraz pracujący w Rosji Polak — Kazimierz Malewicz.

Współczesny abstrakcjonizm nie stanowi bynajmniej jednolitego prądu. Rozpada się na kilka kierunków niekiedy przeciwstawnych, a nawet zwalczających się. Dominują jednakże dwie zasadnicze tendencje. Abstrakcjonizm geometryczny, konstruktywny dąży do jasnego podziału płaszczyzny, stara się o przemyślaną równowagę układu i wyważenie siły oddziaływania poszczególnych form. Jest sztuką rozumową, wyraża logikę i ład, które panują, a raczej powinny panować w świecie. Abstrakcjonizm niegeometryczny odwołuje się do emocji widza, poprzez piękny zestaw nieokreślonych kształtów i barw

pragnie wywołać przeżycia estetyczne, zasugerować skojarzenia podobne do tych, jakie powstają przy słuchaniu muzyki. Popularną jego odmianą jest „taszyzm” — sztuka kierowanego przypadku.

Trzeba wspomnieć, że w dziejach abstrakcjonizmu poważne zasługi posiada Łódzkie środowisko plastyczne. W Łodzi w latach międzywojennych Władysław Strzemiński i Katarzyna Kobro stworzyli „unizm” — jedną z najbardziej skrajnych i konsekwentnych odmian abstrakcjonizmu geometrycznego. Bogate w tym zakresie zbiory Łódzkiego Muzeum Sztuki budzą zainteresowanie w całym świecie kulturalnym.

Akademia Sztuk Pięknych — szkoła, po której umie się malować, tylko nie wiadomo po co.



Kiedy za kilka czy kilkanaście złotych kupuje w księgarni powieść, rośnie mi serce, oto stał się właścicielem oryginalnego dzieła sztuki. Nabywając bilet do teatru czy na koncert (oczywiście bilet ulgowy, ma się te chody) oprócz prawa do wydziwiania za swoje pieniądze otrzymuje pełną satysfakcję: jestem świadkiem jak powstaje każde — razowo nowy utwór artystyczny, obserwuję na żywo akt twórcy interpretatora roli lub kompozytora muzycznej. Kiedy jednak kupuję reprodukcję obrazu, nie stać mnie przecież na oryginal, mam smutną świadomość, że to tylko mechaniczna odbitka, powielona w iluś tam egzemplarzach relacjom o niedostępnym dziele sztuki, relacjom pozabawiona najcenniejszej wartości — przeżycia, jakie daje bezpośrednie obcowanie z autentycznym.

Bo, niestety, produkt twórczości plastycznej jest niepowtarzalny, jednorazowy. Nawet najwierniejsza kopia obrazu, rzeźby czy dzieła architektury — nie zastąpi swego pierwowzoru. Taka jest specyfika gatunku.

Wynikają z tego pewne konsekwencje, dla plastyka nie zawsze przyjemne. Twórczość pisarza opłacają tysiące, a nawet setki tysięcy czytelników. Literat z prawdziwego zdarzenia znajduje wydawcę i honorarium, może również pisywać do prasy, uprawiać publicystykę i krytykę, zajmować się tłumaczeniami. Piórem zarobi na chleb, a warsztat twórcy ma stosunkowo niekosztowny. Aktorem i muzykiem wykonawcom za ich wysiłek twórcy płaci się pensje. Kompozytorów nie ma w Polsce zbyt wielu, jeśli nawet nie żyją z czystej twórczości, mogą znaleźć zatrudnienie w swoim zawodzie. Zupełnie inna jest sytuacja plastyków.

Koszt utrzymania pracowni, koszt materiałów i na-

zędził pracy poważnie obniżyć ich budżet domowy. A przy tym tylko oni jedni nie posiadają zorganizowanego rynku pałacach pol'czy malarzy i rzeźbiarzy, których wyłącznym źródłem utrzymania jest twórczość w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Kto dziś kupuje u nas obrazy? Odbiorcy prywatni? Kupa śmiechu i a kuku, jak mawia pewien współczesny filozof. Uspołecznił zakłady pracy? Owszem, kiedy władze miejskie dają obraz w prezencie pewnej świetlicy — nie jakieś tam nowoczesne dziwadło, dobry obraz realistyczny — zaraz na drugi dzień zgłosił się zasłużony kierownik onejże placówki kulturalnej, czy nie dalać się tego wymieniać na adapter, a w ostateczności na komplet do ping-ponga. Bardzo się przy tym krygował i zabawnie wykrzywił.

Istnieje wprawdzie niezawodny mecenas sztuki — państwo. A teraz policzmy. Jest w Łodzi około 300 plastyków, z tego około stu stanowia malarze i rzeźbiarze. Miejska Rada Narodowa przeznaczona na zakup dzieł plastycznych 200.000 zł rocznie (Wojewódzka jest trochę mniej hojna, o jakieś sto dziewięćdziesiąt tysięcy z drobnymi groszami), z funduszu centralnych na zakupy i stypendia wpływa około stu tysięcy. Ile to wypada rocznie na głowę? Nie zapomnijmy odliczyć kosztów własnych.

Zakupy odbywają się przeważnie na wystawach. Szanujący się malarz drugi raz tego samego obrazu nie pokaże, jeżeli zaś wystawią dwa lub trzy obrazy, kupią mu najwyżej jeden. Zdarza się więc często, że dzieło, nawet wysokiej klasy, wraca na zawsze do komórki, albo zostaje przemaalowane.

Klepie malarz biedę jak za dobrych czasów cyganerii, ale że ma żonę i dzieci, imają się różnych zawo-

dów, a maluje, sobie a masoni, w niedzielę. Włóczym nie, bo przy sztucznym świetle robić się tego nie da. Pytanie tylko, gdzie maluje? W ostatnich latach warunki pod tym względem wyraźnie się poprawiły — o całe trzysta procent; w tej chwili mamy już 9 (słownie — dziewięć) pracowni malarskich. A jakże, jest i pracownia rzeźbiarska, prawdziwa, z możliwym wyposażeniem. Kłopot tylko, że i tę jedną trzeba będzie zamknąć, bo wysokie komorne.

Kwitnie tedy sztuka polska, aż miło.

Zarty na bok. Naprawdę kwitnie. Wystawy pękają od obrazów. W tej powodzi można znaleźć mnóstwo prac dobrych, od kierunków najbardziej tradycyjnych po najskańniej nowatorskie. Tylko, co dalej? Jaki z tego pożytek?

Przypuśćmy nawet, że przez wystawę przewinę się tysiące ludzi. Oglądanie obrazu w galerii, w nieuniknionym pośpiechu, daje tyle, co kartkowanie książki. Z dziełem sztuki trzeba obcować często, w spokoju, ze skupieniem. Dopiero wówczas można je zrozumieć i polubić, tylko wówczas działa ono wychowawczo, wzbogaca psychikę człowieka, wyrabia smak. Na wystawie trudno o przeżycie estetyczne, tam chodzi się jak na zwidy; co słychać nowego w sztuce.

Czy jest wyjście? Czy można udostępnić sztukę szerokim masom, a jednocześnie dopomóc plastynom? Można. Jak — niech pomyśli dyspozytorzy funduszy zakładowych.



(Dokończenie ze str. 1)

przez ograniczenie możliwości jej awansu materialnego czyli zwiększenia portfela piac w skali społecznej. Nie ukrywamy naszych niedostatków, nie udajemy zamożnego już społeczeństwa. Jakże więc rozumieć słowa najwyższego dostojnika kościoła? Oto one:

„Przedziwne jest błogosławieństwo licznych rodzin. Jeśli nawet dzieci wychowują się w niedostatku są za to wedy świadkami wielkich ofiar i poświęceń rodziców, bohaterów wyrzeczeń i trudów, dzięki czemu od młodości zaprawiają się same do życia ofiarnego, bohaterstwa, zdolnego do każdego wyrzeczenia się i ofiary dla dobra wspólnego. Liczne dzieci to najwzrostniejsi spożywcami, który wale nie przyczynia się do wyrównania dysproporcji między produkcją a spożyciem i do likwidacji zalegających magazynów fabryczne zapasów...”

Nie mamy powodu wątpić, że słowa te, więcej — wskazania społeczne, mają na celu ogólnie dobro. Lecz są to słowa obiecujące królestwo nie z tego świata. W naszych warunkach wciąż jeszcze obfitujących w niedostatki, nadmierna liczba dzieci w biednych rodzinach częściej, o wiele częściej bywa przekleństwem niż błogosławieństwem. Prawda stara jak świat. Nie należy więc — właśnie dla dobra narodu — prowokować sytuacji, w której uśmiech matki przestonia troski. Iluż to małkom, wierzącym w te słowa znikła radość, płynąca z macierzyństwa.

## BŁOGOSŁAWIEŃSTWO CZY PRZEKLEŃSTWO

Z rozmów z personelem i pacjentkami licznych placówek służby zdrowia zajmujących się sprawami kobiecymi wynika, że istnieją dwie podstawowe przyczyny dla których nie istnieje w Łodzi (i Polsce) masowa praktyka zapobiegania niepożądaną ciąży: po pierwsze w ogóle brak wiedzy o tym, że można się chronić przed zajściem w ciążę, po drugie (wśród kobiet, które już o tym słyszały) panująca niechęć do stosowania tych środków.

Wymienimy przyczyny owej niechęci w kolejności, w jakiej — według opinii personelu Poradni Świadomego Macierzyństwa — występują one kolejno od najczęstszych do najrzadszych.

1) **Sprzeciw męża.** Jest on formułowany bądź lakonicznie: „maż nie chce”, bądź też „niechęć” ta jest rozszyfrowywana: „brzydzi się”, „nie chce rezygnować z przyjemności”, „jest pijany i nie zastanawia się”, uważa, że „tacie środki przystoją tylko prostytutkom”.

2) **Lenistwo lub niedbatstwo.** („Różnie mam czas się martwić”. „W pokoju meszkają i inni, nie mam gdzie dokonać odpowiednich przygotowań” lub ogólnikowo „któ by tam o czymś ‘ak’ myślał”).

3) **Przeświadczenie, iż jest to grzech.** Występuje ono jednak u 2—3 na dwadzieścia pytaných kobiet. (Większość kobiet przychodzi do poradni w zamiarze przerwania ciąży. Gdy wysuwają kwestię grzechu, personel odpowiada, że zabieg, o którego dokonanie się ubiegają też jest grzechem, a jednak

go pragna. Wtedy kobiety sta ogół wycofują się ze swej „grzechowej” argumentacji. Natomiast nie zdarza się by z racji grzeszności zabiegu rezygnowały z przerwania ciąży).

Okazuje się więc, że powodem pierwotnym nadmiernej arcyważkich zjawisk, jakie ta ze sobą niesie — jest przede wszystkim prosta, a masowa niewiedza, iż konieczność zajścia w ciążę nie jest bynajmniej nieodwracalna.

Gdyby nawet wysłać do każdej kobiety w Polsce umyślnego prelegenta, który ją w tej materii należycie poinformuje, a na udzielenie o tych informacji zużyje tydzień czasu i wysoką państwową pensję — to i tak — wydaje się, koszty powyższego przedsięwzięcia będą wielokrotnie mniejsze od kosztów utrzymania przez rok tylko w szkole dzieci, które narodzą się w wyniku wspomnianej niewiedzy. A przecie ów wysłannik-agitator jest ornamentem argumentacyjnym — a nie życiową koniecznością.

Tymczasem w mieście Łodzi nie istnieją dotąd żadne fundusze na propagowanie świadomego macierzyństwa. Towarzystwo tej nazwy dopiero organizuje się. Istniejąca poradnia jest dobrze zakonserwowana, tak że nikt nie wie o jej istnieniu (a propos: *Moniuszki nr 5 pokój nr 16 od godz. 16 do 18*) a cała propaganda świadomego macierzyństwa ograniczała się do ogłoszenia kilku pouzdanek w zakładach pracy, gdyż bez funduszy to tylko można było doraźnie urządzić.

Tak więc Poradnię Świadomego Macierzyństwa odwiedza z dobrej woli około 2 kobiet dziennie. W pięćdziesięciu aptekach Łodzi sprzedano w bieżącym roku tylko 1.174 środków antykoncepcyjnych dla kobiet. Oznacza to, że do jednej apteki w ciągu jednego miesiąca zgłasza się niespełna jedna klientka tego towaru.

Oto żalotne nasze „osiągnięcia” będące rezultatem wielkiego szumu, poczynionego u nas w związku z kwestią nadmiernej populacji. Powiada się, że świadome macierzyństwo jako jeden z podstawowych elementów kultury współczesnej — jest bezpośrednio uzależnione od ogólnego poziomu cywilizacyjno-kulturalnego. A więc podnośmy ten ogólny poziom... itd.

Podnośmy. Tylko, że owo podnośnienie poziomu tym się różni od podnoszenia ciężarów, iż trwa długie lata. Nie można zaś czekać.

Dla osiągnięcia pożądaných efektów w pierwszym rzędzie uczynić trzeba dwie rzeczy: zaprosić do współdziałania socjologów, aby poprzez ich badania ustalić punkty, w które bić trzeba argumentacyjną artylerią. Po drugie prelinimować na ten cel odpowiednie sumy, w tym wypadku rezygnując z wszelkich oszczędności. Bo

tu oszczędnie jest — nie oszczędzać.

Zanim jednak zacznie grzmieć ciężka artyleria w naszym mieście — Łodzi można i trzeba uczynić kilka rzeczy niezbędnych, prostych i oczywistych, że aż wstyd o nich mówić:

1) Ogłaszać codziennie w prasie, kinach, na słupach ogłoszeniowych i w formie ulotek rozsyłanych do domów — że istnieje poradnia i gdzie istnieje. Wyjaśnić, że w tych kwestiach pouczy każdy lekarz (sprawić też by każdy lekarz chciał i umiał pouczyć). Przydzielić istniejącej poradni odpowiednie lokal i w miarę napływu pacjentek zwiększyć personel.

2) Dla kandydatów do stanu małżeńskiego wprowadzić obowiązek przedstawienia zaświadczenia lekarskiego, że zostali pouczeni w dziedzinie metod przeciwdziałania ciąży.

3) W wielkich zakładach pracy, skupiających tysiące lub setki kobiet zorganizować cykle pogadanek, wywieść materiały propagandowe, wprowadzić dyżury lekarskie itp.

4) Wychodząc z założenia, iż, jak wykazują badania socjologiczne, około 70 proc. dziewcząt odbywa pierwszy stosunek płciowy w wieku 15—20 lat — we wszystkich maturalnych klasach zorga-

nizować pogadanki prowadzone przez lekarzy o sposobach zapobiegania ciąży, nie łącząc ich (dla uniknięcia ośmieszenia się i tematu) z żadnym „ogólnym uświadamianiem” ani moralistyką.

W miarę napływu środków finansowych na omawianą akcję zakres podobnych i innych działań można i trzeba rozszerzyć.

Pragniemy tu jeszcze dodać, iż sprawą wymagającą osobnego omówienia jest kwestia przerywania ciąży. Sygnalizujemy tu tylko, iż w wszyscy zgadzają się z tym, że istniejąca ustawa w swym działaniu daje nikłe rezultaty i nienajszczęśliwiej została pomyślana. Jednym słowem, czas zrobić wszystko, aby przy pomocy wszelkich możliwych i rozsądnych środków sprawić, by dzieci rodziły się tylko tam i wtedy, gdy są rzeczywiście oczekiwane, gdy przygotowane jest dla nich miejsce na świecie, w izbie i w budżecie rodzinnym. Aby więcej było matek mądrych i dbałych o przyszłość i teraźniejszość swoich dzieci (występujących w rozsądnej ilości) — niż matek bohaterów z przymusu i dzieci bohaterów z tego tylko powodu, że w ogóle utrzymały się przy życiu.

I wreszcie, by dzieci rzeczywiście oglądały w życiu trochę więcej kwiatów i słońca, a mniej rodzicielskich ofiar, trudów, bohaterów i poświęceń czy pełnego reżymu cnoty niedostatku.

BOGUMIŁ BRECHTA  
i ANDRZEJ SZARON

Jerzy Tynecki  
**LILIE**  
Andegawenskie

Jechaliśmy autokarem z Łodzi do Skierniewic: historycy, archiwiści i kierownicy archiwów powiatowych w województwie, na sesję historyczną poświęconą 500-leciu miasta. Po drodze mieliśmy zwiedzić jeszcze Brzeziny i Jeżów.

W autokarze gwar. Z tego kto z kim siedział, albo nie siedział można było wnosić, kto kogo wspiera, kto się czym wspiera i jaką będą miały wagę i wartość drukowane i opublikowane prace.

W Brzezinach stanęliśmy przed kościołem i „studnią św. Franciszka” zbudowaną we wniece trotuaru, naprzeciwko fary. Było szaro i pusto. Konserwator Wojewódzki mgr Zbigniew Ciekliński był laskaw pokazać zewnętrzną szatę fary — ma się z niej odstukać tynk „aby odsłonić gotycką fakturę”. Obejrzelśmy kaplicę, nagrobek dłuta Jana Michałowicza z Urzędowa, post-stwoszwowskie „Złożenie do grobu”, a wreszcie dana nam wielkocenne gromnice i zesłaliśmy do podziemi (okazała! — jedyne w środkowej Polsce katakumby pod kościołem, a tam nagrobki). Na stropach katakumb zwiedzający przed nami pisali dymem świece swoje inicjały. Baedekera dla Brzeziny! — słowo daję, te kopieci robią wrażenie.

Tymczasem pojawił się ksiądz dziekan Moskwa. I jak to było umówione przez organizatora wyprawy, dyrektora Archiwum Państwowego miasta Łodzi i woj. łódzkiego, Romana Kaczmarek — poszliśmy do księdza dziekana na kawę. Na każdego przypadło po trosze kielbasy (w Łodzi takiej nie dostanie), troszkę chleba, szklanka herbaty i troszkę ciasteczek. Dziekan przywoził na myśl opowiadanie Marii Dąbrowskiej „Weselo na wsi”, gospodyni nie było, sam więc wszystkich obsługiwał, a historycy zajęci byli rozmową między sobą.

Czas ich gonil, na trzecią mieli już być w Skierniewicach. Dziekan uklonił się, miko mu było powlać znakomite grono, zautawzył jednak, że na przyszłość należy powiadomić go o takich odwiedzinach dwa dni wcześniej, teraz bowiem dyrektor Kaczmarek zadzwonił zaledwie na dwie godziny przed najazdem, stąd też tak skromny poczęstunek (o. wszystko było doskonałe!) — powiedział prof. Serejski i podziwiałem to. Ksiądz dziekan jest zamłowanym kolekcjonerem, chciał powiedzieć gościom coś przyjemnego, rzekł więc:

— Myśle, że państwo jako historycy szczególnie rozumieją nas, księży, gdyż zajmują się obrazami, zabytkami sztuki, a tak samo i my księża. Wiekność bowiem obrzędów i dzieł sztuki jest bowiem w rękach nas, księży.

Dziekan sprawiał wrażenie skromne, nieprzyzwyczajony był do oracji, zakończył tedy nieporadnym gestem zachęcającym do współpracy.

Jeśli nas jednak interesowały obrazy, które są w innych pokojach, poza gabinetem, to ksiądz dziekan bardzo prosil obejrzeć i około 30 osób weszło jeszcze do mniejszych pomieszczeń. Obrazy skwalifikowano by... między ciekawym malarstwem a amatorskimi kopiami widocznych, było ich sporo, ale przewodnik nasz naglił, więc opuszczaliśmy gościnną plebanie.

Na granicy miasta Skierniewic powitała nas delegacja Komitetu Obchodu 500-lecia, prof. Dudkiewicz otrzymał kwiaty i zabrany został do taksówki, autokarem z nami pojechał przewodniczący obchodu pan Medyński, dyrektor szkoły w Kuluszkach. Na powitanie powiedział: „Dziękujemy wam za to, żeście do nas przybyli z tym, co nas interesuje”.

No, w mieście Skierniewicach (liczącym trochę mniej niż 22 tys. mieszkańców, w tym czterech piłaków, bo to była sobota) pan Medyński pokazał nam restaurowany herb miasta — trzy lilie andegawenskie na gmachu Prezydium Rady Narodowej — a potem nas poprowadził. Była brama otynkowana, z żelazną kutą kratą (nową) i kawalek murku. Okazało się,



że w tym miejscu, w czasach Królestwa Polskiego były w domkach na wspomnianym podwórku skierniewickie manufaktury, a obok nich ogród spacerowy, dziś zamieniony na ogródki działkowe.

— „Dla nas to jest, proście państwa, zabytek” — rzekł pan Medyński. — W domkach tych mieszkają prywatni mieszkańcy, z ich pomocą otynkowaliśmy bramę, to te właśnie szepki tu za murkiem, panie wysypały podwórko żółtym piaskiem, i właśnie w celach dydaktycznych pozwolłem sobie tu państwa zaprosić. Przrzekłem tym paniom, które tu mieszkają, że państwo tu przyprowadzę. Państwo nie gniewają się, prawda?”

Był to najładniejszy fragment uroczystości. Dwie panie, rumiane gospodynie domowe w pelerynach deszczowych z kapturkami, zostały przedstawione szanownemu gremium i udaly się z nami na zwiedzanie miasta, uciekłyśmy dopiero przed drzwiami z zakąską, którą dla nas przygotowano. W pewnej chwili pan Konserwator Wojewódzki wspomniął o wzruszeniu, jakim napawa niespotykany fakt troski o zabytki, ba! przyrzekł nawet stylową dachówkę na domki byłej manufaktury i wspomniał szpulerkę wysunął się po wręczane przez dziewczynki kwiatki. Sześciu więc zostało ich też trochę dla ciebiego organizatora całej uroczystości, dyrektora Kaczmarek. Obdarowani pocatowali dziewczynki w czola.

Zwiedziliśmy jeszcze miasto: kościół, i dawny pałac arcybiskupi. Pałac arcybiskupi stanowił w XIX wieku rezydencję carską i tu w 1884 r. odbył się zjazd trzech cesarzy: Rosji, Austrii i Prus. Podobno część okien tego pałacu, ciemniejsza, niemal fioletowa, pochodzi jeszcze z czasów stanisławowskich. Musiał ten pałacyk mieć dobrą ochronę, a zamieszek w mieście wi-

dać nie było, bo obliczyłem, że do dziś dnia wybito zaledwie 40 proc. starych szyb. Stabilizacja!

Dziś użytkuje pałac Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego i ona to przez dwa dni fetowała historyków. Krucho ciasteczka kładziono na czerwonych prawdziwych liściach winiowych. I tak nas ganiano: zwiedzanie miasta, sesja naukowa, jedzenie, otwarcie wystawy, jedzenie, zwiedz...

Ach, prawda! Odbyła się też sesja naukowa. Czego tam nie było! Otworzył pan Medyński (znów: „dziękujemy, że przyjechaliście z tym, co nas interesuje”), przewodniczący PRN i MRN rzekli o swoim powiecie i mieście, potem były referaty. Dyrektor Kaczmarek z urzędu przedstawił szczegółowo stan wiedzy i źródła do dziejów Skierniewic, mgr Ciekliński w referacie o architekturze Skierniewic twierdził akurat wprost przeciwnie niż następnego dnia dyrektor Lorents z Muzeum Narodowego w Warszawie, potem och, proszę państwa, w sobotę i niedzielę trzeba było wysłuchać aż 11 referatów, co prawda w dwóch salach. Niektóre dotyczyły historii lecznictwa w Skierniewicach i pisane były wespół ze skierniewickimi lekarzami. Prowadziłem pilnie notatki i marzyłem o przeszłych czasach, kiedy to starożytni toczyli dysputy rozparci na łóżach. Zastanawiałem mnie jak dyrektor Kaczmarek podsumowałby wtedy dyskusję? Albo prof. Serejski? Prof. Missalowa prawdopodobnie wycofałaby się z czynnego życia naukowego. W każdym bądź razie słuchające społeczeństwo oceniło wielkość historyków na podstawie długości ich referatów, i wielkie zdobył sobie uznanie prof. Dudkiewicz, gdy rzekł, że o zjeździe trzech cesarzy skończy w ciągu 10 minut i nie skłamał. Dr Stefan Rosiak, który mówił o przeszłości skierniewickiego węzła kolejowego wykazał tak wielką sprawność, że gdy mu ograniczono czas referatu do 20 minut, zdołał powiedzieć wszystko; od maszyny parowej Stephensa aż do informacji, że ze Skierniewic do Warszawy jeździ się pociągami od dnia 14 października, a do Łodzi od 1 listopada 1845 roku.

Wszystko jednak dobrze, co się wreszcie kończy, wieczorami więc były bankiety. Na stołach było skierniewickie wino „Jubileuszowe” — dla okraszy i wódka — dla toastów, które brzmiały: „toasty wnosimy wódką, historycy to też ludzie”, przeciwko czemu protestował prof. Serejski, ale dość bezskutecznie. A potem historyków brano na nocleg: dziekana Zajackowskiego i prof. Serejskiego — ks. dziekan Wieczeska, tego — pan doktor, tego — pan mecenas, nielężni spali w hotelu i ci byli wygrani: wyspali się.

W niedzielę, 28 września sesja skończyła się naprawdę. Referaty mają być podobno wydane w oddzielnej księdze pamiątkowej. Otwarte jeszcze w ładnym, ale ciasnym pomieszczeniu poczęły wystawę archiwalną, a na pożegnany bankiecie pan Medyński wręczył gościom odznaki „500-lecia Skierniewic”, panowie jednak mieli z reguły niemożność marynarki ze ślepyimi dziurkami. Wiele też mężczyzn zamieniało swoje odznaki na damskie, z agraf-

kami. Ostatni toast spełniono na cześć pań, obmyślających menu, tak wielkie uznanie wzbudził bukiet z jarzyn.

Dość! Przerwała mnie ilość tych plotek po dwóch dniach wrażeń. No cóż, tak się złożyło, że jestem bywały po „Dniach” i sekcjach. Byłem w Łowiczu na jego „Dniach” i w Skierniewicach. W Skierniewicach było trochę inaczej.

I kiedy porównamy „Dni Łowicza”, ich rozległość i ich naprawdę ogólnospółeczną aktywność z sesją w Skierniewicach, to wydaje mi się, że sesja ta była jakby przeznaczona dla samej inteligencji. Tak, jak to ktoś zadowolony po ostatnim i autym przyjęciu mi powiedział: Inteligentni tu ludzie, ale co dziwnego. Jak tu każdy jeździ do Warszawy, to tę inteligencję musi przywieźć”. Zauważyłem też dążyć małą aktywność ojeów miasta (nie oni stali na czele komitetu) i — może się mylić — pewien aparatyzm Komitetu Powiatowego, odwrotnie niż w Łowiczu.

Słyszałem też, że podobne sesje projektuje się i gdzie indziej, w Łęczycy nawet dwie do 1963 r. Jeśli tak, proszę o miejsce dla siebie w hotelu.



**SYD HOFF**  
albo  
**straszni mieszczanie**

Najostrzejsza  
ołówki  
świata

Od prawie trzydziestu lat Syd Hoff rysuje swe kąśliwe żarty o drobnomieszczanach. Z uporem, godnym rzeczywistej tej sprawy — realizuje amerykański karykaturzysta ciągle ten sam temat, powielony w tysiącach już dowcipów. I łatwo się przekonać, że nakreślony przez ostrego ołówka Hoffa portret amerykańskiego mieszczanina nie różni się tak bardzo od tego, jaki stworzył Julian Tuwim w swoim słynnym wierszu:

„Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach Strasznie mieszkają straszni mieszczanie...”

Ten sam świat u Hoffa: ponure i zagrazone wnętrza obokornych kamienic czynszowych, ten sam duszny klimat zeszlowiecnych obyczajów, to samo środowisko przedwzwojnych plotek, głupich mieszczek i ograniczonych pantoflarzy...

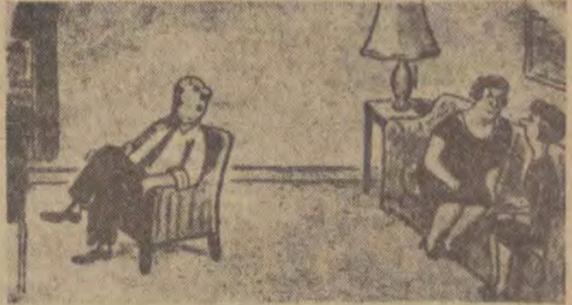
Hoff debiutował z początkiem lat trzydziestych w tygodniku „New Yorker”. Pierwsze jego żarty nie mają wyraźnego oblicza, widać w nich poszukiwanie indywidualnego genre'u, rysunek zdradza jeszcze niezbyt precyzylną kreskę debiutanta. Lecz już w 1933 roku zaczyna rysować dowcipy o drobnomieszczanach, które zyskują mu wielu zwolenników i, naśladowców. (Podobny cykl „mieszkański” realizuje równoległe z Hoffem na łamach „New Yorkera” inny karykaturzysta, William Steig).

Jeden z załączonych żartów, ten o „pocałunku Clarka Gable’a”, pochodzi z roku 1937 i wydrukowany był w magazynie „Esquire”, z którym Hoff także współpracował.

Natomiast dowcip o kasjarszu należy do innego obszernego cyklu rysunków amerykańskiego humorysty, w którym przedstawia środowisko drobnych, niezbyt sprytnych złodziejaszków. Temat jest jednak ubocznym nurtem twórczości Syd Hoffa.



— Gdy zamknę oczy, panie Mayer, zdaje mi się, że mnie całuje Clark Gable!



— Gdy już skończysz mnie obgadywać, rezerwuję sobie tyleż czasu na odpowiedź.



— Nie będę stawiał oporu, ale pozwólcie mi to otworzyć, bo nie mógłbym zasnąć, gdybym się nie dowiedział, co tam było.



— Wraz z życzeniami urodzinowymi do 1967 r. wzięcia.

## Jubilerzy księżycowego światła



„Bijoutiers du clair de lune” to film o mocnym zacięciu dramatycznym. Jest w nim miłość, i to nawet przy udziale dwóch nie byle jałkich kobiet (Brigitte Bardot i Alida Valli), jest krwawa bójka, zakończona prawie że morderstwem, są też dni spędzone w autentycznej, choć umiłowanej grocie, jest policja, zbiegowie i tragiczny finał: śmierć młodej bohaterki w ramionach ukochanego (Stefana Boyda). To wszystko było już w głośnej powieści Alberta Vidalie, na

której oparta jest treść filmu, nakręconego przez Vadima. Tym razem Brigitte Bardot nie gra swojej tradycyjnej roli filmowej kociaka, ale pokazuje się w scenach wymagających już aktorstwa. Po raz pierwszy „umiiera” przed kamerą, co mogło zaszokować zarówno krytykę (która ma o jej możliwościach wyrobione zdanie) jak i sympatyków jej aparacji. Nawiasem mówiąc plotka głosi, że „B.B.” zdecydowała się na udział w filmie Vadima, gdyż jest entuzjastką powieści Vidalie, którego wszystkie książki zna nieomal na pamięć (!).

Trzeci film Vadima z Brigitte wywołał poruszenie we francuskim środowisku filmowym. Już dwa poprzednie filmy spotkały się z nieprzychylną oceną. Zarzuty można było sprowadzić do jednego zdania: „Vadim robi pieniądze na demonstrowaniu wdzięku Brigitte, która ponadto nie innego demonstrować nie potrafi”. Ale młody reżyser ma też i swoich zwolenników. Ci chwaliłi go za ciekawe ustawienia kamery, za dynamikę zdjęć i... na to właśnie czekali oponenci. Cóż w tym dziwnego, wołali. Przecież Vadimowi służą nasi najlepsi operatorzy. Jak to możliwe, żeby taki na przykład Armand Thirard zrobił złe zdjęcia?

Gdy polemika osiągnęła swój punkt kulminacyjny, sam Vadim odpowiedział jednemu z ogólnie szanowanych recenzentów: „Jestem w prawdziwym kłopotcie, gdy skądinąd inteligentnemu chłopcu nie podobają się moje filmy”. Po tym oświadczeniu obie strony stwierdziły zgodnie, że Vadim nie jest wprawdzie skromny, jest jednak niewątpliwie dowcipny. A to też coś znaczy.

## RENDEZ-VOUS GWIAZD

Z małym opóźnieniem wydało się, że w Saint-Paul-de-Vence — małym miasteczku alpejskim Gina Lollobrigida i Yves Montand wydali sobie rendez-vous. Nie wynikał stąd jednak żadne sensacyjne powikłania, a to nie dlatego, że Montandowi towarzyszyła żona, uroczą Simone Signoret, ale że spotkanie to miało charakter jak najbardziej filmowy. W tymże małym miasteczku bowiem francuski reżyser Jules Dassin realizował film wg powieści Rogera Vaillanda odznaczonej nagrodą

Goncourtów. Tytuł filmu: „La Loi” („Prawo”).

Obok Giny i Yvesa (który tym razem wystąpił jako siwy, czterdziestopięcioletni jegomość — ojciec dorosłego syna — pobrzydony ogromnymi wąsami i szramą na policzku) gra w filmie Dassin Pierre Brasseur.

Nie jest rzeczą łatwą przebywać gdziekolwiek incognito, gdy się jest Giną Lollobrigida, lub choćby tylko Yves Montandem... Dlatego miła para była bez przerwy inwigilowana przez dziennikarzy, zwabionych do włoskiego miasteczka, także przez pobyt w nim innych sław filmowych. (W tymże czasie po najpiękniejszej trasie spacerowej, ogrodzie Colombe De'or przechadzali się Serge Regiani, małżonkowie Clouzot, Francoise Arnoul i inni).

Po zakończeniu zdjęć w Saint-Paul-de-Vence, Gina udała się do Hiszpanii, gdzie czekał już na nią amerykański reżyser King Vidor z dwiema propozycjami, przygotowanymi dla popularnej aktorki „Królową Sabą” i nową adaptacją „Madame Sans Gene”, gdzie Gina odtwarzała rolę pani Lesfevre, graną niegdyś przez Głorię Swanson i Arietty. Jeśli wierzyć radiowemu „Parnasikowi” to pięć dni temu Gina już w swoim domu, ubrana w niebieską sukienkę w czerwone kwiaty



uczyla się dialogów z „Królowej Sabą” i na własne uszy słyszeliśmy pozdrowienia przesłane przez nią dla polskich kinomanów oraz radiosłuchaczy.

Yves Montand natomiast, powrócił do Paryża, gdzie z końcem miesiąca daje nowy recital piosenkowski. Warto

zaznaczyć, że w Paryżu przygotowywany jest obecnie film dokumentalny „Yves Montand śpiewa”, a wiadomość ta na pewno zainteresuje tych, którzy nie mieli możliwości oklaskiwania jego występów w Warszawie.

A. J. P.



Z planu zdjęciowego, gdzie się nakręca film, fotoreporterzy przynoszą zwykle zdjęcia twórców, aktorów, reflektorów albo dekoracji. Z planu „Kaloszy szczęścia” — przyniesli także zdjęcia przechodniów, przyglądających się nakręcaniu sceny w Monachium (ul. Moniuszki). Publikujemy!

„Kalosze szczęścia” pojawiają się na naszych ekranach jako trzecia (po filmach Wajdy i Hasa) premiera ciesząca się dużym zainteresowaniem. O ile jednak — bądźmy szczerzy — „Popiół i diament” przeszedł nasze oczekiwania, a „Pożegnania” ich nie spełniły, to „Kalosze” prof. reż. Antoniego Bohdziewicz jest najwyraźniej nie mieszczą się w tymże uproszczonym systemie rozeznania. Jest to bowiem film o fragmentach arek kapitalnych — które niestety — sąsiadują z mniej udanymi, tworząc zgodnie coś na kształt, smak i podobieństwo salatkę. Rzecz sprawozdawców będzie poprowadzenie wywodu w sferę zainteresowań smakosza; a więc ustalenie, które epizody „Kaloszy” są dobre, a które gorsze, gdzie się zaczyna sekwencja najwyższej miary i kiedy się kończy. Mnie owe subtelności raczej nie interesują. Jako że od młodych lat wyznaję naukę Kisiela („Kiepska to prawda, która nie może dojść do ludzkiej świadomości bez reklamy”) i gdyby nie zimna chęć zysku, byłbym częściej przestrzegaj jej zasad. Zresztą, w pierwotnym zamiarze autora niniejszych uwag leżało przeprowadzenie wywiadu z twórcą obrazu, prof. reż. Antonim Bohdziewiczem. Jednakowoż chciał traf, że Bohdziewicz bawi akurat w Warszawie, wobec czego wywiad odbył się innym razem i przy innej okazji.

OKIENKO DLA ANEGDOTKI: Działo się to dawnymi laty, gdy filmowych

„Kaloszy” nie było jeszcze na świecie. Prof. Bohdziewicz zjawia się na sali projekcyjnej w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej. Jest ciemno, a na ekranie migotają jakieś obrazki.

— Co to jest? — pyła prof. Bohdziewicz.

— Materiały Worontkiewicza — odpowiada jakiś głos z sali.

— A co to Worontkiewicz? — ponawia pytanie profesor...  
— W filmie „Kalosze szczęścia” przynajmniej trzy rzeczy wypadają rozpatrywać z osobna. Przede wszystkim pomysł filmu, potem jego realizację, a na końcu koncepcję filozoficzną rzeczy.



Prof. Antoni Bohdziewicz, reżyser filmu

Ostatni temat nie stwarza jednak pretekstu dla dłuższej medytacji. „Kalosze”

## Nasze przyjęcie „KALOSZY”

nie są bowiem, wbrew sugestiom pewnego pana z Muzyki i Aktualności, komedią o charakterze filozoficznym, w najbardziej nawet potocznym rozumieniu tego słowa. Ale nie jest to zarzut, gdyż bawia mnie zazwyczaj komedie pseudo-filozoficzne, żonglujące przyłada jakiej okazji pozorami załatwiania skomplikowanych spraw tego świata. Czy jest coś komiczniejszego niż film, który przez długą godzinę wywodzi prawdy znane i banalne jak siedem grzechów głównych? Dlatego owego braku pozorów nie poczytuję „Kaloszem” za uchybienie.

SUPLEMENT DO ANEGDOTKI: Przypomniało mi się, iż rzeczony w uprzedniej anegdotce T. Worontkiewicz jest dziś naczelnym reżyserem łódzkiej telewizji.

W „Kaloszach szczęścia” bezsprzecznie najlepszy jest epizod z Kościuszką. Opowiedział bym go własnymi słowami, ale nie chcę pozabawiać przyszłego widza należnej mu satysfakcji, a ci, którzy „Kalosze” widzieli, doskonale wiedzą o co chodzi. Dlaczego jednak jest to epizod najlepszy? Czy dlatego, że zawarty w nim absurd stanowi sam dla siebie klasę? A może przez to, że całe wydarzenie zamknięto osobną, pomyslową pointą? Nie wiem. W każdym razie na pewno warto po raz wtóry podejrzeć się przytoczonym Kisielom.

„Zamiłowanie do czystego absurdu świadczy o skłonnościach logicznych i o konsekwencji”.

Aha, Mistrz się nie myli. Dostrzegalne w strukturze komediowej Bohdziewiczowych „Kaloszy” jego zamiłowanie do absurdu i abstrakcji, podają w parze z logiką i konsekwencją. Weż-

my na przykład specyficzne pokazanie zagranicy, której obraz w niemalym stopniu stanowi o uroku „Kaloszy”. Paryż, Londyn, (najmniej Monachium, którego prawie nie ma), to seria widocznych zanotowanych na sposób Grusowego małego Kazia. Uliczka w deszczu z nieodłączną melodią (parodia Claire), instytucja na kółkach itp. razem z londyńskim Hyde-Parkiem, tworzą zgrabną całość, utkaną z najtypowszych wyobrażeń. Jest tu i autoironia, i persyflaż o mylących pozorach łatwej satyry (stosunek do emigracji?). W tych fragmentach obrazu jego tkan-



Prof. Stanisław Wohl, autor zdjęć do „Kaloszy szczęścia”.

ka fabularna jest trudna i wieloznaczna, co stanowi przeciwieństwo do sekwencji rymstkiej, słosunkowo innej, bo „realistycznej”. Pominięty „realizm” osiągnięty został skądinąd zarówno

dzięki mniejszym komplikacjom fabuły, co autentycznym zdjęciom przywiezionym z Rzymu przez prof. op. Stanisława Wohla. (Tutaj podkreślić trzeba — narzecze środkowo-europejski poziom zdjęć kombinowanych).

Bezkonkurencyjnie odtworzone zostało w „Kaloszach” egzotyczne środowisko krakowskich plastyków. Mikulski w roli postać robi konkurencję 400-letniej pozycji, a Flaszen i Skrzynecki dają wspaniały, niezapomniany pokaz błęd. Wciąż na chwałę prof. reż. Bohdziewiczowi, iż zanotował na taśmie, ku rozrywce przyszłych pokoleń, tę jakże widoma oznakę tolerancji krakowskiego społeczeństwa. Poza sprzedawcą krabów w Nicei, nigdzie, nawet na Saint Germain des Pres, tak bujnego owłosienia nie udało mi się obaczyć.

„Kalosze” byłyby lepsze, gdyby prof. reż. Bohdziewicz nie zawiedli scenarzyści. Zawiedli go w przydługie niekiedy perypetie — powtarzające jednakowy chwyt. Pewną winę ponosi za to sam pomysł filmu, pomysł z rzędu wymyślonych, pomysł naby czarodziejski worek, do którego można schować najwymyślniejsze gagi. Już sama zasada tej dowolności sprzeciwia się wszelkiej dyscyplinie. Niemniej największą winę scenarzystów widzę w tym, że nie wymyślił finału dla „Kaloszy”. Szybujący pija-czyna, w dowcipnej interpretacji Fijewskiego umyka niepoprawnym materialistom z milicji. To owszem, wesole, ale to jeszcze nie koniec. Kogo jeszcze można było przemienić w aeronautę? Może milicjanta, ale co potem począć z rekwiizytem? Odesłać via talerzyk?

Jako miła lektura, po bejrzeniu omawianego filmu, polecam jego bardzo odległy pierwowzór, „Kalosze szczęścia” — tym razem — bajkę Andersena. Poie-

cam ją nie bez przyczyny. Popelnilem oto przydługie komentarz do „Kaloszy” i czuję coś, niby zażenowanie. Też pomyśl! — dopisywanie komentarza do filmu. Ale znajduję w bajce takie oto zdanie: „Przyjęcie należy co jakiś czas wyprawiać, żeby się pozbyć tego obowiazku i być w zamian zapraszonym na podobne przyjęcia przez innych”. Uff! To mnie cokolwiek usprawiedliwia, prawda?

EDWARD ETLER

\* Ostrzegam! Leniwe pomysły może to naprowadzić na drogę pochopnych sformułowań i nieopatrznych wniosków!

## EKRANIK ★ EKRANIK

### PLAKAT 1

Wzorem stolicy i całego kraju — także i w Łodzi powieszono plakat do filmu „Nieznosna dziewczyna” — plonowo... Tymczasem cały sens, dowcip i urok tego plakatu polega na tym, że Brigitte leży a nie stoi. Jak widać — radosny wiew rozsądki nie dotarł do wszystkich dziedzin naszego życia.

### PLAKAT 2

Niestety, wypada stwierdzić z goryczą, że plakat J. Srokowskiego do filmu „Kalosze szczęścia” — jest beznadziejny.

### SPROSTOWANIE

Przez pomyłkę zamieściliśmy w ubiegłym tygodniu ilustrację przedstawiającą obrabiarkę do metali nieżelaznych z podpisem „warsztat pracy artysty grafika St. Ibsa — Gratkowskiego”. Niniejszym prostujemy ten błąd. Właściwy warsztat artysty — obok.

## EKRANIK ★ EKRANIK